

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

telefon 2-44-18.

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Dzieci nieślubne — *Wanda Woytonicz - Grabińska*; Poczcie: Dożynki — *Stanisława Sznaper*; Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer*; Piękność odzyskana — *Halina Izdebska*; Miasto niespodzianek — *Marja Grujanka*; Dwór w filmie — *Aura Wyleżyńska*; Jak pracują kobiety — *St. Osińska*; Rewja najlepszych — *K. Muszałówna*; Kronika sportowa — *I. Pawska*; Romantyczna przygoda: Z ubiegłego tygodnia — *H. N.*; Przegląd prasy; Dzisiejsza feministka francuska; XXV-lecie Polskiego Czerwonego Krzyża; Nasza Mównica; Jeszcze o ojcach — *Stefan Szempliński*; Kobieta w świetle i w domu. Ogrodnictwo i hodowla; Jesień i drzewo — *Marzenna Saryusz-Stokorska*; Dlaczego drzewa owocowe należy sadzić jesienią — *Marja Dąbrowa*; Mecz w trawnikach — *Stan. Schönfeld*; Orzechy włoskie sadzić grupami — *Stan. Schönfeld*; Odpowiedzi działu ogrodniczo-hodowlanego; Dom i gospodarstwo; Krochmal domowej roboty; Zależność od ubrania — *Wanda Dobrzańska*; Przepisy gospodarskie — *Melba*; Kronika harcerska; Książki nadesłane do redakcji.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

zł.			zł.			zł.		
$\frac{1}{1}$	str. tekstu	— 700.—	Okladka III-cia	$\frac{1}{1}$	str. okł.	— 500.—	Okladka IV-ta	
$\frac{1}{2}$	„ „	— 400.—		$\frac{1}{2}$	„ „	— 250.—		
$\frac{1}{4}$	„ „	— 200.—		$\frac{1}{4}$	„ „	— 150.—		
$\frac{1}{8}$	„ „	— 100.—		$\frac{1}{8}$	„ „	— 80.—		
$\frac{1}{16}$	„ „	— 50.—		$\frac{1}{16}$	„ „	— 50.—		$\frac{1}{1}$ str. okł.—600.—
$\frac{1}{32}$	„ „	— 30.—		$\frac{1}{32}$	„ „	— 30.—		

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabycie tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BLUSZCZ

SPÓŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Dzieci nieślubne

I.

Zagadnienie dzieci nieślubnych dość długo spoczywa w szarym kącie opieki prawnej i społecznej. A przecież na światło dzienne wysuwa je wciąż nie teoria, ale nieustanne przykłady życiowe, wołające o rewizję stosunku społeczeństwa do tej kwestji.

Jeśli uprzytomnimy sobie choćby fakt, że istniejący stan rzeczy doprowadza wiele matek do dzieciobójstwa, powodującego oprócz zniszczenia dziecka, moralne zniszczenie kobiety, że ponadto naturalna śmiertelność niemowląt nieślubnych jest procentowo o wiele większa od ślubnych, jeśli zważymy dalej, że w razie utrzymania się przy życiu, dzieci te, wskutek braku odpowiednich warunków, stanowią jednostki upośledzone społecznie, to już na pierwszy rzut oka staje się jasnym, że istniejące stosunki domagają się reformy w imię słuszności i dobra powszechnego.

Nie kusząc się o wszechstronne oświetlenie tej sprawy w jednym artykule, chcielibyśmy dzisiaj spojrzeć na prawną stronę zagadnienia w świetle kodeksów, obowiązujących w kilkunastu państwach.

W kształtowaniu się pojęć prawnych w tym przedmiocie widzimy wahania się między dwoma tendencjami.

Jedna z nich, w myśl ochrony interesów rodziny legalnej, traktuje dziecko nieślubne jako filius nuli — dziecko niczyje, przyznając mu jedynie prawo do alimentów w pewnym okresie lat życia. Druga teza przyznaje dziecku nieślubnemu przywileje dzieci ślubnych, wychodząc z założenia, że pokrzywdzenie prawne nie może dotyczyć istot, które w niczem nie zawiniły, a więc nie mogą ponosić odpowiedzialności za niezależny od nich stan rzeczy.

Między temi biegunowemi ideami, kształtują się poglądy pośrednie. W praktyce większość obowiązujących kodeksów nie zajmuje zdecydowanie żadnego z tych dwóch stanowisk, akcentując jedynie swą sympatję dla jednego lub drugiego kierunku.

Aby określić stanowisko prawne dzieci nieślubnych, trzeba wziąć pod uwagę cały szereg kwestji, jak na przykład, prawa rodzinne, opiekę, alimenty, poszukiwanie ojcostwa lub macierzyństwa, uznanie, prawa spadkowe. Mnogość tych zagadnień uniemożliwia nam tutaj szczegółowe porównawcze traktowanie przedmiotu.

Chcąc uzyskać względnie jasny obraz, musimy wziąć ogólniejszą podstawę do porównań, podstawę podziału. Przyjmiemy za nią stanowisko dziecka nieślubnego wobec rodziców, uwzględniając w niem z konieczności jedynie elementy zasadnicze.

Pod tym kątem widzenia możemy podzielić ustawodawstwa a według nich i państwa na dwie grupy, część jednak nie da się w nich pomieścić, nie posiadając jednakże dosyć cech wspólnych dla utworzenia grupy trzeciej.

Do pierwszego typu zaliczymy państwa, w których sam fakt urodzenia nie stwarza żadnych węzłów cywilnych pomiędzy dzieckiem nieślubnym, a jego rodzicami, lub choćby tylko matką, a dla ich zaistnienia koniecznym jest uznanie dziecka, dobrowolne lub sądowe.

Ta grupa pochodzi, lub pozostaje pod wpływem francuskiej myśli prawniczej, a w szczególności kodeksu Napoleona.

Do drugiego typu należą państwa, w których w stosunku do matki, a często i krewnych macierzy-

stych przez sam fakt urodzenia dziecko nieślubne nabywa prawa różniącego się bardzo mało, a niekiedy wcale, od sytuacji dziecka ślubnego.

Jedynie zaś w stosunku do ojca powstanie węzłów cywilnych oprzeć się musi na uznaniu przez niego dziecka.

Ta druga grupa ustawodawstw łączy się z koncepcją germańską.

Do pierwszego typu państw, w których uznanie jest koniecznym warunkiem powstania węzłów cywilnych między dzieckiem nieślubnym a matką i ojcem, należy, między innymi, Belgja, Francja, Holandia, Hiszpanja, Włochy i Japonja.

Jakież są konsekwencje tego uznania, to jest stwierdzenia macierzyństwa, lub ojcostwa w akcie urzędowym?

Przedewszystkiem powoduje ono powstanie pokrewieństwa między dzieckiem, a tym z rodziców, które je uznało. Z tego zaś tytułu wynikają wzajemne prawa i obowiązki rodzinne, a w szczególności obowiązek utrzymania i opieki nad dzieckiem, oraz prawa do dziedziczenia po stronie dziecka.

Te obowiązki rodziców, jak i prawa dziecka są przeważnie zmniejszone, w porównaniu z takimiż uprawnieniami dziecka ślubnego.

Z kwestją uznania łączy się dalej ściśle sprawa poszukiwania ojcostwa lub macierzyństwa.

Dziecko „niczyje“, nieuznane dobrowolnie, może w pewnych wypadkach poszukiwać swych rodziców na drodze sądowej.

Poszukiwanie macierzyństwa jest z reguły dozwolone przez wszystkie ustawodawstwa, lecz z natury rzeczy jest ono w praktyce zjawiskiem rzadkiem.

Poszukiwanie ojcostwa większość kodeksów cywilnych omawianego typu zabrania, dopuszczając je wyłącznie w pewnych, ściśle określonych wypadkach, jak na przykład, konkubinatu, porwania, obietnicy małżeństwa, nadużycia władzy, gwałtu.

Zakaz ten jest już dzisiaj powszechnie uznany za anachronizm, krzywdzący dzieci nieślubne od strony moralnej i materialnej.

Z faktu uznania dziecka płynie przedewszystkiem obowiązek jego utrzymania, a jeśli ojciec lub matka uchylają się od tego, dziecko nieślubne uznane może poszukiwać alimentów na drodze sądowej.

A jakaż jest sytuacja dziecka nieuznanego?

W pewnych krajach jest ono prosto „dzieckiem niczyjem“, pozbawionym wszelkich praw wpływających z węzłów rodzinnych i pozostawionem łasce opieki publicznej, lub swemu własnemu losowi.

Niektóre ustawodawstwa jednakże zezwalają takiemu dziecku, pod pewnymi, ściśle określonymi warunkami na wystąpienie z akcją sądową o alimenty przeciw domniemanemu ojcu lub matce.

Alimenty obejmują tylko koszty utrzymania i wychowania dziecka, oraz przygotowania go do zawodu. Wysokość alimentów, udzielanych przeważnie w formie pieniężnej, określa się sytuacją socjalną i majątkową rodziców, a według większości ustawodawstw, sytuacją matki.

Dziecko nieślubne, nieuznane, nie może dziedziczyć po rodzicach, zaś dziecko uznane dziedziczy po tem z rodziców, które je uznało. Udział spadkowy dziecka nieślubnego jest jednak o wiele mniejszy. Według kodeksu Napoleona, na przykład, który częściowo obowiązuje i u nas, udział ten wynosi zaledwie $\frac{1}{3}$ część udziału spadkowego dziecka prawego.

Tylko w wypadku braku spadkobierców legalnych, pewne ustawodawstwa dają nieślubnemu dziecku prawo do całości spadku po zmarłym rodzicu.

Po przytoczeniu kilku cech znamienych dla pierwszego typu ustawodawstw wypada nam obecnie powiedzieć kilka słów o grupie drugiej.

Należą do niej, między innymi, Anglja, Danja, Norwegja, Szwecja, Finlandja Niemcy, Austrja, Szwajcarja. Z tej grupy pochodzą więc również kodeksy niemiecki i austriacki, dotychczas obowiązujące na ziemiach byłego zaboru pruskiego i dawnej Galicji.

W tych ustawodawstwach stanowisko prawne dziecka nieślubnego wobec matki różni się bardzo mało od stanowiska dziecka ślubnego. Dziecko nieślubne przez sam fakt urodzenia nabywa tu względem niej prawie takie same prawa i obowiązki, jakie posiadałoby, będąc dzieckiem ze związku małżeńskiego. W szczególności może ono dziedziczyć po matce, a często i po krewnych matki.

W stosunku do ojca sam fakt urodzenia nie stwarza tutaj żadnych węzłów cywilnych pomiędzy nim a dzieckiem. Ojciec jest osobą obcą. Niektóre ustawodawstwa nie przewidują wogóle możliwości zaistnienia tu pokrewieństwa z jego skutkami cywilnymi w inny sposób, jak na drodze t. zw. legitymacji t. j. przez następne połączenie się rodziców nieślubnych węzłem małżeńskim.

Poszukiwanie ojcostwa we wszystkich krajach tej grupy jest dozwolone, lecz skutkuje czasem jedynie obciążenie ojca obowiązkiem alimentarnym. Tak jest w Anglji, Austrji, Danji, Niemczech, Finlandji. W krajach tych poszukiwanie ojcostwa jest uzależnionem od woli dziecka, lub jego opiekunów. Ciekawy wypadek stanowi tu Norwegja i Szwecja, w których poszukiwanie ojcostwa jest obowiązkiem, przyczem sądowe stwierdzenie ojcostwa pociąga pełne skutki cywilne do alimentów i dziedziczenia narówni z dziećmi prawymi. Znamieną cechą ustawodawstwa tak norweskiego, jak szwedzkiego jest przytem jego ustosunkowanie się do t. zw. exceptio plurium concubentium t. j. zarzutu względem matki pożycia z kilkoma mężczyznami. O ile większość innych ustawodawstw traktuje ten zarzut, jako wyłączający możność poszukiwania ojcostwa i dochodzenia alimentów, w Finlandji i Norwegji wszyscy mężczyźni, którym zostanie udowodnione obcowanie z kobietą w okresie poczęcia, zostają zobowiązani do ponoszenia kosztów utrzymania i wychowania dziecka.

W omawianej grupie państw, dziecko nieślubne, uznane przez oboje rodziców, jest powierzone matce, przyczem pewne ustawy, obowiązkiem łżenia na jego utrzymanie obciążają tylko ojca, inne również i matkę.

Wanda Woytowicz-Grabińska.

VIM

UNIWERSALNY ŚRODEK
DO CZYSZCZENIA

DUŻA PUSZKA
OSZCZĘDNA w UŻYCIU



STANISŁAWA SZNAPER.

Dożynki

Przyszły z pola żytnie chleby,
Przyszły z pola pełne kłosy,
Ręce ojców ucałować,
Swoje ciało ofiarować:
Z czarnej ziemi i spod nieba,
Z rąk zmęczonych, spod nóg bosych.
Wieźcież plony ojce drodzy,
Sprawiedliwie ważcie w dłoni,
By nie było głodu, nędzy,
By miał każdy jaknajwięcej.
I sieroty i ubodzy
Niechaj dzielą nasze plony.
Nakrajali wiele kromek,
Wszystkich ludzi obdzielili.
Popróbujmy, posmakujmy.
Między siebie rozczęstujmy,
Żeby poszło każdym domem,
Byśmy zawsze zgodnie żyli.
Zaśpiewali pieśń o ziemi
I o Bogu i o chlebie:
Że Bóg ziemię dał dla ludzi,

A ziemia im jadło rodzi,
A ziemia im bydło pleni,
Młode żywi, zmarłe grzebie.
Oczy łzami im nabiegły
Na to święte zaśpiewanie.
Pośpiwiali, poklekali,
Ziemi dłońmi dotykali,
Nasycili piasek ciepły
Pierworodnym miłowaniem.
Stał się akt błogosławienia;
Zeszedł chleb pomiędzy ludzi.
A teraz się pomieselcie,
Potańcujcie i pośmiejcie,
Przy tym słońcu, na tej ziemi,
Na tę radość, po tym trudzie.
Sami ojce się ruszyli,
Od żytniego wstali wieńca.
Podciągnęli portki żwaro,
I do dziełuch idą ława,
By odmłodzić twarde żyły,
Przy tym wieńcu w kształcie serca.



Dożynki.

(fot. Poddębski).

Nieumyślna cnota

Czy to jego było stać na mieszkaniu w tak pięknym domu? Czy to on, chory i ubogi, wynalazł ten dom i mieszkanie, umeblował może, może odświeżał, może tapetował, szukał lamp i drobiazgów, tak zwanych bibelotów, którymi bywają kałamarze i popielniczki?

Adela szła do domu i wyzywająco uśmiechała się do przechodniów, nie dbając o to, że to zapewne wyglądało śmiesznie. Jeżeli uśmiechała się do wszystkich dziewczyna młoda i ładna, z wyskubanymi w piękny łuk brwiami, z uzerwionymi ustami, to jest wszystko w porządku. Ale wyjść tak, nieumalowana, w czapce okrągłej i włożonej za głęboko na czoło, w pantoflach o trochę obtartej skórze, to już jest do niczego niepodobne. Mimo to tak właśnie nieopatrznie postępowała Adela, za co zaraz została wynagrodzona. Ktoś przeszedł i zatrzymał się, potem się obejrzał, potem zawrócił. Nagle Adela usłyszała za sobą głos:

— Przepraszam panią.

Adela zatrzymała się i spojrzała z dawnego nawyku chłodno:

— Pan sobie czegoś życzy?

— Czy pani nie wie, gdzie jest najbliższa Komenda Uzupełnień?

— Ależ panie, niech się pan zapyta policjanta.

Młody człowiek był biednie ubrany i miał jeszcze bardziej zdeptane buty, niż Adela. Był bladej, złe wyrosnięty i szczupły, jego kapelusz był przepocony i nosił ślady wielu deszczów. Adela pomyślała: „powinien był się zapytać: gdzie ja widziałem te prześliczne, szare włosy? — a nie o tą głupią Komendę Uzupełnień“. Młody człowiek szedł dalej koło Adelci, jakby ją znał od bardzo dawna i mówił:

— Mieszkam daleko od Warszawy i nikogo tu nie znam. Kiedy wyjeżdżałem, matka powiedziała mi, nie bój się, wszędzie trafisz, bo się zapytasz na ulicy. Czy pani zna Łęczycę?

— Nie, nigdy nie byłem w Łęczycy.

— Pięknie, ale trochę smutno. Czy nie chciałaby się pani jutro ze mną spotkać?

— Dobrze — powiedziała Adela, i pomyślała: ach, więc to tak się robi, z taką swobodą. To bardzo łatwo.

Potem pożegnała go, bo spieszyła się do znajomych. Tam właśnie spotkała Bertę Zajdman.

Była to młoda, żydowska dziewczyna, melancholijna i bardzo elegancka. Jej pantofle i duża torba były z jaszczurzej skóry z monogramem srebrnym, który połyskiwał, kiedy poruszyła ręką, albo no-

gą. Na szyi miała ponawieszane mnóstwo rzeczy, szeroki sznur porcelanowych, niebieskich paciurów, chusteczkę malowaną w dużą kratę, która odślaniała kwiat arum tak samo z jaszczurzej skóry, i dużą broszkę brylantową, którą suknia była spięta u góry, a wszystko razem było piękne i dzwoniło na jej szczupłej piersi. Srebrny lis przewieszony był przez poręcz krzesła, na którym siedziała.

— Ty ją znasz? — spytała Adela gospodyni. — Nigdy jej u was nie spotykałam (tak, jakby było możliwe, żeby jej właśnie dzisiaj nie spotkała).

— Mało ją znam, ale to miła dziewczyna. Zdaje się, że była uczennicą twojego ojca.

Potem Berta Zajdman wzięła na rękę swojego lisa i przysiadła się do Adelci. Była nieśmiała, nieładna i przez kilka chwil nic nie mówiła, także nawet Adela musiała się pierwsza odezwać:

— Bardzo byłam pani ciekawa.

Tamta splonęła rumieńcem i wiadać było, że jest tak nieśmiała, że boi się słowa powiedzieć. Potem przemogła się, ale i to przez chwilę poruszała ustami, zanim się odezwała:

— To ja powinnam była przyjść do pani, bo czułam, że pani chce usłyszeć... Nie, niech pani nic nie mówi, ja wiem od pani ojca, że pani jest dobra, ale powinnam była! Nie miałam odwagi. Zawsze boję się komuś narzucać.

Ach, Adela czekała, taka sucha, taka wyniosła, chociaż wiedziała doskonale, że tamtej jest przez to jeszcze trudniej robić swoje dziecinne rewelacje.

— Wszyscy uwielbialiśmy pani ojca. Cóż to było za szczęście, że raczył czasami z nami porozmawiać! Poza lekcją. A raz spotkałam go na ulicy: szedł do domu, powoli tak, jak zawsze chodził w ostatnich czasach, w ostatnich miesiącach. Taki straszny deszcz padał! Był przemoknięty, miał na sobie cienkie palto, ręce zawsze bez rękawiczek. Przemogłam się, zapytałam go, idąc za nim: czy nie chce pan parasola? Wtedy przyjął mój parasol,trzymałam go nad nim i nad sobą, to było blisko naszego domu. Zanvtałam się go jeszcze: czy nie wypilby pan gorącej herbaty, panie profesorze? Wjechał ze mną windą, mamy windę w domu, chociaż mieszkamy na drugim piętrze, nie potrzebował się męczyc schodami.

To, że Adela milczy, nie jest zachęcające do rozmowy, ale Berta Zajdman mówi dalej, bo uważa to za swój obowiązek.

— Trzy dni przed tym wypadkiem był ze mną w kinie. Byłam taka szczęśliwa! Chciałam potem przyjść do pani i opowiedzieć pani o tem. Chciałam też pani powiedzieć na czym byliśmy: Wichur z Liljaną Gish. Podobał mu się ten obraz. Powiedział: jakie ona ma aksamitne spojrzenie!

Adela wróciła wcześniej do domu. Dostała z tego wszystkiego migreny i przez trzy dni nie wychodziła z domu. Przypomniało jej się też, że ojcu podobała się kiedyś papierośnica hiszpańska z czarnej stali, inkrustowana złotem, ale nie mógł jej sobie kupić, bo była za droga. No, trudno, nigdy już jej nie dostanie.

Co się dotyczy dalszego ciągu, to naprawdę już nic więcej nie da się o Adeli powiedzieć. Umarła, nie będąc wcale starą, miała zaledwie czterdzieści dwa lata. Prostu silnie się kiedyś przeziębiła i coś jej się popsło w płucach. Nic nadzwyczajnego nie było w jej śmierci, jak nie nadzwyczajnego w jej życiu. Naprawdę, tembardziej należałoby podkreślać dla szkół i dzieci ostatnie chwile Sokratesa i ciągle stawiać je za przykład, jak należy umierać. Nawet i później aż do naszych czasów ludzie przemagali się w chwili śmierci, wzywali rodzinę i bliskich, przemawiali do nich, reasumowali swoje wysiłki, albo udzielali rad, jak o tem świadczyć potomni. Wymaga to jednak dużego wysiłku woli i nie jest wcale łatwe. Ci, którzy, mając lat osiem, dowiedzieli się o działaniu cykuty, a wersję o kogucie i o Eskulapie uważają to za stwierdzenie prostego faktu, za mało zdają sobie z tego sprawy.

Po śmierci Adelci. Rozalja, której syn siedział wtedy w więzieniu i nie miał z niego tak prędko się wydostać, wróciła do pani Kercenowej, żeby jej gotować i opiekować się nią na zlecenie Karoliny, i na swoje własne życzenie. Obie te starsze (nareszcie!) damy chodziły po zmroku statków na spacer w Aleje, siadały na ławce niedaleko Ujazdowskiego parku i prowadziły długie, ożywione dialogi (początkowo były to monologi, ale potem Rozalja dała się wciągnąć) o upadku dynastji Habsburgów i o pani Toselli.

Wanda Melcer.

Pani, wróciwszy z letniska

powinna poświęcić więcej uwagi swej cerze, która w miarę zanikania opalenia, staje się nierówną, szorstką, czasem pełną plam, piegów i t. d. Cudownie działa w tym wypadku krem Dra Stenzla „Benignina“, który usuwa szybko te wszystkie wady cery, odświeża takową i przywraca jej młodzieńczy wygląd.

Piękność odzyskana

Czyżby dlatego, że była jedynaczką? Maryla M. przyzwyczajona była od najwcześniejszego dzieciństwa do uważania, że o ile inni ludzie istnieją, to poto wyłącznie, aby spełniać jej życzenia; a jeżeli są również i tacy dziwacy, którzy nie tak znów ślepo podlegają jej władzy, to jest to doprawdy poprostu jakieś nieporozumienie: tacy ludzie właściwie doskonale mogliby zniknąć z powierzchni ziemi!

Jedynie rzeczy ważne w oczach Maryli to były jej sukienki, jej wakacje, jej zabawki, jej choroby, jej kaprysy. Opowiadano ze śmiechem, że kiedy raz pewna dziewczynka ośmieliła się chcieć grać w inną zabawę niż ta, którą proponowała Maryla, mała despotka oświadczyła wyniośle:

— Ja jestem dzieckiem zupełnie nadzwyczajnem, to mnie we wszystkim trzeba słuchać!

Kiedy jedna z guwernantek uważając system wychowawczy, stosowany do Maryli, za opłakany, uderzyła ją, aby położyć koniec atakowi nerwowemu dziewczynki, została natychmiast wydalona; i długo potem mówiono w rodzinie o roku — zaraz, kiedy to było? — ach, no tak: w tym roku, kiedy uderzono Marylę!

Była pieszczona tak bardzo, jak to rzadko bywa z najbogatszymi choćby dziećmi. A jednak Maryla nie czuła się wówczas szczególnie szczęśliwą. Miewała często napady nieskończonych łez, chwile trwogi dziwnej o zmierzchu, których matce nie udawało się rozproszyć, pomimo najusilniejszych starań. Przez całe życie zachowała wspomnienie owego złowrogiego lęku, który ją ścisnął za gardło, kiedy ją układano do snu i kiedy lampka nocna czyniła potwornie, pełnemi nieokreślonych możliwości najbardziej jej znane przedmioty.

Później, znacznie później, Maryla w żaden sposób nie mogła zdać sobie sprawy, czy istotnie była kiedyś aż tak piękną, czy też tylko w oczach ubóstwiających ją rodziców. Widząc się w lustrze, sądziła zwykle, że lustro było niedość dobre, ponieważ nie odbijało twarzy o piękności bardziej skończonej. Podobnie wszystkie fotografie wydawały się jej nieudanemi, nie mogła zdobyć się na rezygnację powiedzenia sobie, że jest tylko taką i niczem więcej. Przecież rodzice nie mogli spoglądać na nią bez okrzyku: „Boże, jaka ona jest zachwycająca!” Przyjaciela jej rodziców, znając ich słabość, zachwycali się również czarnymi oczami dziewczynki i jej pełnemi czerwonymi ustami, „jak wisienki“.

Samowolna dziewczynka przekształcała się stopniowo w dziewczynę, wciąż równie pewną siebie, przyzwyczajoną do triumfów i do pochlebstw. Wyznała kiedyś jednej z koleżanek:

— Ja, kiedy idę na bal, muszę być zawsze najpiękniejsza, najbardziej się podobać mężczyznom!

I rzecz dziwna: chociaż najpiękniejsza dziewczyna tak łatwo spotkać może inną, jeszcze piękniejszą, ambicja Maryli zawsze się jakoś ziszczała.

— Nie wiem dotąd, czy naprawdę byłam tak znowu piękną — mówiła mi — wiem tylko, że zawsze, czy to na balu, czy na wycieczce, zawsze miałam więcej „wielbicieli“ niż inne dziewczęta. Może tak bardzo pragnęłam triumfu, że przychodził!

Wtedy to pojawił się na jej ustach wyraz księżniczki zakłętej, gotowej znieść do śmiertelnych jedynie dzięki swej niepojętej wprost wspaniałomyślności. Inne dziewczyny miały oczy jakby zdziwione wobec tego świata, który tak mało jeszcze znały; jeszcze inne miały w niespokojnych źrenicach pokorne oczekiwanie swego przeznaczenia. Ale Maryla nie czuła żadnego niepokoju, najłżejszego zdziwienia wobec świata; wszystko odbywało się tak właśnie, jak powinno, aby jej przeznaczenie było szczególnie zadości godne.

A później...

Maryla straciła rodziców i na łóżu śmierci ojciec jej wymógł na niej przyrzeczenie, że poślubi jednego z jego przyjaciół, człowieka o głębokiem sercu, bogatego, zakochanego w niej, jak to mówią, po uszy, ale o którym mowy nawet nie mogłoby być kiedyś dla Maryli, ona bowiem, co do tego, nie było przecież ani cienia wątpliwości, powinna była wyjść za mąż za udzielnego księcia!

Cały ten okres jej życia znalazłam wyłącznie z opowiadań pani Marji Fabrol, wysłuchanych w dzień, kiedy, zaskoczone przez deszcz, uciekłyśmy z plaży w Berck i schroniłyśmy się do jej pokoju w pensjonacie, w którym mieszkaliśmy obie.

Obecnie niewiele zostawało pani Fabrol z jej byłych świetności: wojna silnie nadwreżyła jej majątek, mąż jej już nie żył, a córeczka, lat może dziesięciu, chora, po szczególnie ciężkiej „hiszpance“, na tuberkulozę kości, przechodziła w Berck-Plage kurację, która owszem dobrze na nią wpływała, ale która trzymała ją przykutą do wózek. Była to dziewczyna o twarzy rzyccze chorobliwej, ale niepo-

zbawionej wdzięku, o wielkich błękitnych oczach, które dziwiły jej czarnooką matkę; była nawet dość wesoła i bez cienia zazdrości śledziła wzrokiem za bawiącymi się zdrowymi dziećmi, klaszcząc w rączki, kiedy jednemu z nich udało się schwytać inne, zachęcając je śmiechem i okrzykami.

Czas najzupełniej zmienił postawę Marji wobec życia. Patrząc na nią, na jej piękne oczy i na twarz zniszczoną nieco, chociaż jeszcze niekiedy przyciągającą spojrzenia, daremnie usiłowałam wyobrazić sobie ową pewność, że się podoba, ów wyraz triumfu bez granic, o którym mi opowiadała.

Rozmawiając w ten sposób o jej przeszłości, nie domyślałyśmy się ani na chwilę, że ten jej krótki pobyt w Berck-Plage miał z kolei tak silnie na życiu jej zaważyć, że jej doła kobieca, ta najistotniejsza, która nas obejmuje płomieniem, aż do najgłębszych tajników naszego jestestwa, miała się rozstrzygnąć tam właśnie.

Tego dnia w Berck-Plage miała się odbyć dziecięca zabawa kwiatowa. Niedaleko od dworca, na rue Carnot, orkiestra grać zaczęła w instrumenty dęte i rżnięte, poczem wyruszyła na przedzie, pociągając za sobą pstry tłum dzieci. Były tam malutkie pieroty o długich barwnych spodeńkach, z upudrowanemi policzkami, lilipucie Chińczyki z długimi wąsami i warkoczem, kwiaty i zwierzęta z bajki, o mordkach roześmianych lub okropnie poważnych. Zabawny, maciusi Charlie przyciągnął wszystkie spojrzenia: oklaskiwano jego, tak dobrze znane, kędzierzawe włosy, wymykające się z pod melonika, czarne wąsiki i ogromne buty, i laseczkę... Koło niego kroczył większy trochę chłopiec, przebrany za diabła: kostjum miał czerwony, jak ogień piekielny, miał także rogi, ogonek i odpowiednio filuterny uśmieszek. Czerwony Kapturek, bardzo grzeczny, bez najłżejszej obawy prowadził na smyczy wspaniałego, choć nieszkodliwego wilka. Przejeżdżały również powozy, zbyt prędko według mnie: nie zdążyłam się napiatrzyć, kiedy minął malutki samochód, tak szczelnie pokryty kwiatami, że nie było widać nawet kół, tonących w kwieciu, którego szkarłat stawał się coraz ciemniejszy, coraz gorętszy... A oto inny powozik, o dwu kołach, fioletowy, na którym jedzie zachwycająca sprzedawczyni fiołków. A tamten? Samochód pełen słoneczników, wśród których malutki bobasek, z niezgrabnym wdziękiem zupełnie niedoroslých aktorów, rozsyła całusy

na prawo i na lewo. Wybuch śmiechu powitał kilkoro dzieci, niosących sieć rybaczą, z której, zamiast rybki, wyglądało różowe, różowo odziane dzieciątko. Był również powóz z kasztelanką i jej paziem o aksamitnym kostiumie, a także kabaret „Czarnego Kota”, który otrzymał pierwszą nagrodę, i jeszcze jedno bobo, spoczywające wśród olbrzymiej głowy kapusty, ponieważ we Francji dzieci nie są przynoszone przez bociana, ale znajdowane w liściach kapusty; i tyle muzyki, okrzyków dziecięcych, kwiatów, i barw, i radości...

Ale między dziećmi przebranymi za kwiaty, jedno kulało silnie, a jedna z dam, które pomagały pchnąć malutki samochód, była w żałobie...

Uderzyły mnie te kontrasty. Obejrzałam się za stojącą nieopodal panią Fabrol. Ale ona uśmiechała się uśmiechem tak widocznie odległym od otaczającej nas rzeczywistości, że słowa zamarzyły mi na wargach. Zauważyła to i nachyliwszy się ku mnie, szepnęła:

— Pozwoli pani, że zajdę po obiedzie? Miałabym pani coś do opowiedzenia.

Co mi też opowie? Z niecierpliwością oczekiwałam końca obiadu. Nareszcie znalazłyśmy się w moim malutkim pokoju, nad salą jadalną.

Pani Fabrol rozciągnęła się w fotelu i powiedziała natychmiast, jakby dając upust słowom, które same gotowe były wytrysnąć:

— Jakie to zabawne: mam wrażenie, że znowu jestem młodą dziewczyną! I to nie tą, którą kiedyś byłam... Zdaje mi się, że się stałam dziewczyną romantyczną, sentymentalną, może odrobinę niemądrą: doprawdy, niegdyś za mało byłam właśnie taką! Kto wie, może każda kobieta musi przeżyć w swoim istnieniu pewną sumę wzruszeń; i jeżeli nie zrobiła tego w czasach swej pierwszej młodości, to biada jej! Bo to przyjsć musi. Trochę za późno. Takie już jest prawo przyrody.

Elektryczność, przyćmiona różowym abażurem, rzucała na jej twarz cienie, przeistaczające się do tego stopnia, że gdybym nie wiedziała, kto mianowicie znajduje się przede mną...

Oczekiwałam w milczeniu, że mi powie coś bardziej ścisłego. Jakoż dodała:

— Muszę się pani przyznać do jednej rzeczy. Przyjechałam do Berck-Plage przedewszystkiem ze względu na moją córkę, niewątpliwie: mówiono mi, że jest to jedyne może miejsce, gdzie mogłaby odzyskać zdrowie. Ale miałam również taką, nawpół świadomą myśl: Kto wie?... Może w Berck-Plage właśnie

zapoznam się z kimś... spotkam kogoś... no! nastąpi jakieś spotkanie decydujące dla całego mojego następnego życia. To też tu nawet, w tym pensjonacie, nie mogłam bez szczególnego wrażenia patrzeć na wszystkich naszych współpensjonarzy. Ale, naturalnie, ani jeden z nich... Sama pani przecież wie! Nareszcie...

Odwróciła trochę głowę, i wydało mi się, że się zaczerwieniła.

— Nareszcie wczoraj... Nie wiem, poco właściwie to pani opowiadam, ale w pani jest coś takiego, co zachęca do zwierzeń! Więc... Kiedy go zobaczyłam, natychmiast zrozumiałam, że to właśnie on. Nadzwyczajnie szlachetna twarz, rysy subtelne, mądre... Oczy błękitne i takie jakieś smutne, jakby bolały, że nie mogą patrzeć wyłącznie na niebo. Słowem, człowiek taki, o jakim marzą właśnie romantyczne dziewczęta. Ale najstraszniejsze...

— Cóż jest najstraszniejsze? — zapytałam cicho, bo zamilkła na chwilę.

— ...Że się znajdował na takim — wie pani — wózku, jakich używają tutejsi pacjenci.

Popatrzałam na nią trochę oszłomiona. On był chory, chory na gruźlicę kości! I jego uznała ona za swojego królewicza zakłętego!

Zapytałam, aby coś jednak powiedzieć:

— Mówiła pani z nim?

— Nnn-nie. Zobaczyłam, że wypadła mu z ręki książka, którą czytał. Usiłował zmienić pozycję, dosięgnąć tej książki. Więc podniosłam ją i podałam mu. Powiedział mi: „Dziękuję!” bez uśmiechu, ale z takim spojrzeniem... Nigdy jeszcze takiego spojrzenia nie widziałam. Zapewniam panią, gdyby w tej chwili Bóg do mnie przemówił, nie odwróciłabym się, aby nie stracić ani cząsteczki tego błękitnego spojrzenia!

Kilka dni przeszło. Pani Fabrol nie mówiła więcej ze mną o swojej dziwnej miłości. Patrzałam na nią ukradkiem, starając się wyczytać w jej rysach dalszy ciąg jej romansu. Powtarzałam sobie: „Cemuż jestem krótkowzroczna! Oto wymyka mi się jeden z kształtów mego życia tutejszego. Czy nie do wiem się niczego więcej? Ani dzisiaj, ani jutro? Jak na złość, niedługo przecież będę musiała stąd wyjechać!”

Ale w przededniu mego wyjazdu, wieczorem, pani Fabrol zwróciła się do mnie w chwili, kiedy wstałam z za stołu:

— Czy pani ma zamiar iść do swojego pokoju?

Zawahałam się chwilę. Zależało mi bardzo na dalszym ciągu jej zwierzeń. Doprawdy, było to coś więcej, niż banalna ciekawość ko-

bieca. Było to we mnie dobrze znane drżenie, odpowiadające wszelkiemu drżeniu życia dokoła mnie. Z drugiej znowu strony...

— Proszę pani... Chodzi o to, że jutro wyjeżdżam. Chciałoby mi się ostatni raz rzucić okiem na morze.

Wtedy dodała pospiesznie:

— Jeżeli pani nic nie ma przeciwko temu, to ja pójdę z panią nad morze.

Z ulicy Dubois skręciłyśmy na lewo i zaczęłyśmy schodzić ku szerokiej plaży, niemal pustej o tej wieczornej godzinie. W ciemnościach szczególnie wyraziście słychać było rytmiczny szum morza. Zapach morski, również mocniejszy o tej porze, ścisnął mi serce, jak słowo pożegnania. Patrzałam przez chwilę na ciemne płaszczyzny morza u naszych stóp i powyżej, niby boskie ich echo, niebo nocne, na którym gwiazdy zdawały się tajemniczym jego uśmiechem.

W tej właśnie chwili usłyszałam głos pani Fabrol:

— Więc stało się: jestem zaręczona. Zdecydowałyśmy się jednak. Może się to pani wyda dziwne...

Wyszeptalam:

— Cóż, pani chyba jest najlepszym sędzią.

Ale poczułam się wyzuta do cna z wszelkiej ciekawości. Pomyślałam obojętnie, że ta kobieta, młoda jeszcze i pełna niezaspokojonej żądz życia, skazana oto zostaje na spędzanie dni u boku kaleki, że to „dziecko zupełnie nadzwyczajne”, zwyciężone przez czas, przez życie, przez miłość, zmuszone będzie jutro do oddawania najprostszych usług...

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom: pani Fabrol powiedziała w rozmarzeniu:

— Och, ja sobie doskonale zdaje sprawę, że będę cierpiała przez niego, jakim jeszcze nigdy nie cierpiała. Zaledwieśmy się zaręczyli, już uśmiechał się do wszystkich dziewcząt, które spotykał na drodze. Cóż, taka jest widać jego dola: zdobywać serca, uśmiechać się, stwarzać cierpienia, biec po coraz nową uciechę... A moja dola to może — zadawałniać się tem, co on raczy mi dać.

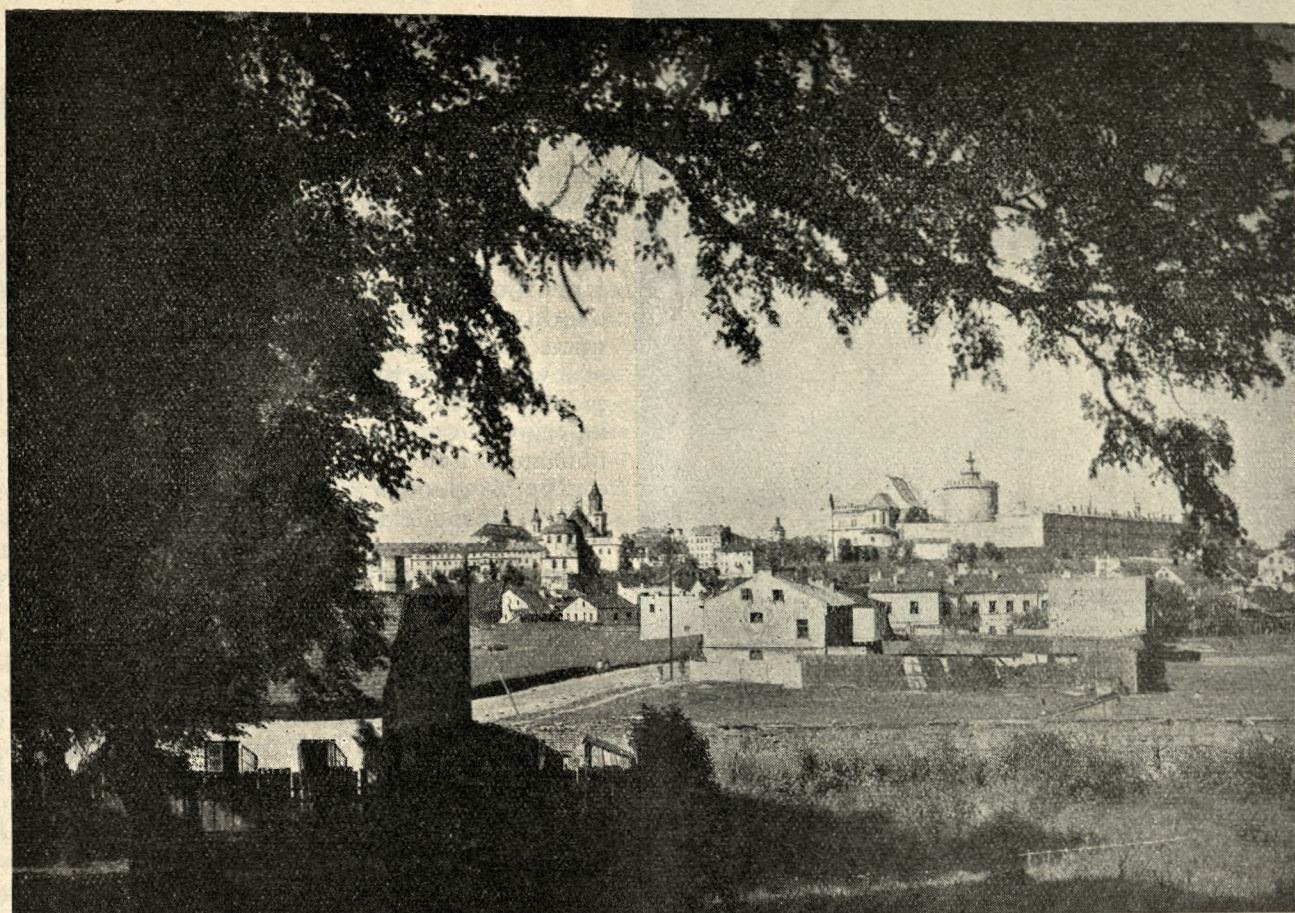
Nic nie rozumiałam. Obraz tego narzeczonego „biegnącego po coraz nową uciechę” dziwnie jakoś nie kojarzył się z tym, który nakreśliła uprzednio: z obrazem kaleki o błękitnych oczach spragnionych ideału.

Powiedziała niespokojnie:

— Nic pani nie odpowiada? Jestem pewna, że pani mnie potępia. Ze względu na córkę. Ale cóż? Ona, biedactwo, potrzebuje raczej kliniki, niż domowego ogniska. Zostawiam ją na rok w Berck-Plage. A przytem — Boże drogi! Czyż ja naprawdę zupełnie się nie liczę?

(d. c. n.)

Halina Izdebska.



Ogólny widok Lublina.

(fot. Podgębski).

Miasto niespodzianek

Poznałam go w czasie wielkiej wojny, nie czas było na zachwyty i bliższą znajomość, ale wiedziałam, że do Niego powrócę, przecież urok pierwszego poznania jest najtrwalszy i najprawdziwszy!

Lata biegły. Aż dopiero w tym roku spędziliśmy razem kilka dni. I zachwyt trwa, chociaż poznałam Go dokładnie, a więc i wady, bo któż jest bez wad! Ale niestety, nie są to miłe wady, które przedmiot podziwu czynią jeszcze miłszym, lecz takie banalne, codzienne, spotykane na każdym kroku: mój Kochany jest brudny. Człowiekowi tegobym nie wybaczyła, ale Jemu, Lublinowi i to wybaczam! Muszę więc zaraz tłumaczyć (podobno mam wrodzony, a nie wykorzystany talent adwokacki), przedewszystkiem że Lublin nie jest wszędzie brudny, ale niestety trzeba przyznać z bólem serca w miejscach najczcigodniejszych, najszanowniejszych, tam gdzie się idzie ze wzruszeniem, z bijącym sercem, a wyobraźnia wskrzesza potężne chwile dziejowe, barwne, pełne majestatu jak obrazy Matejki!

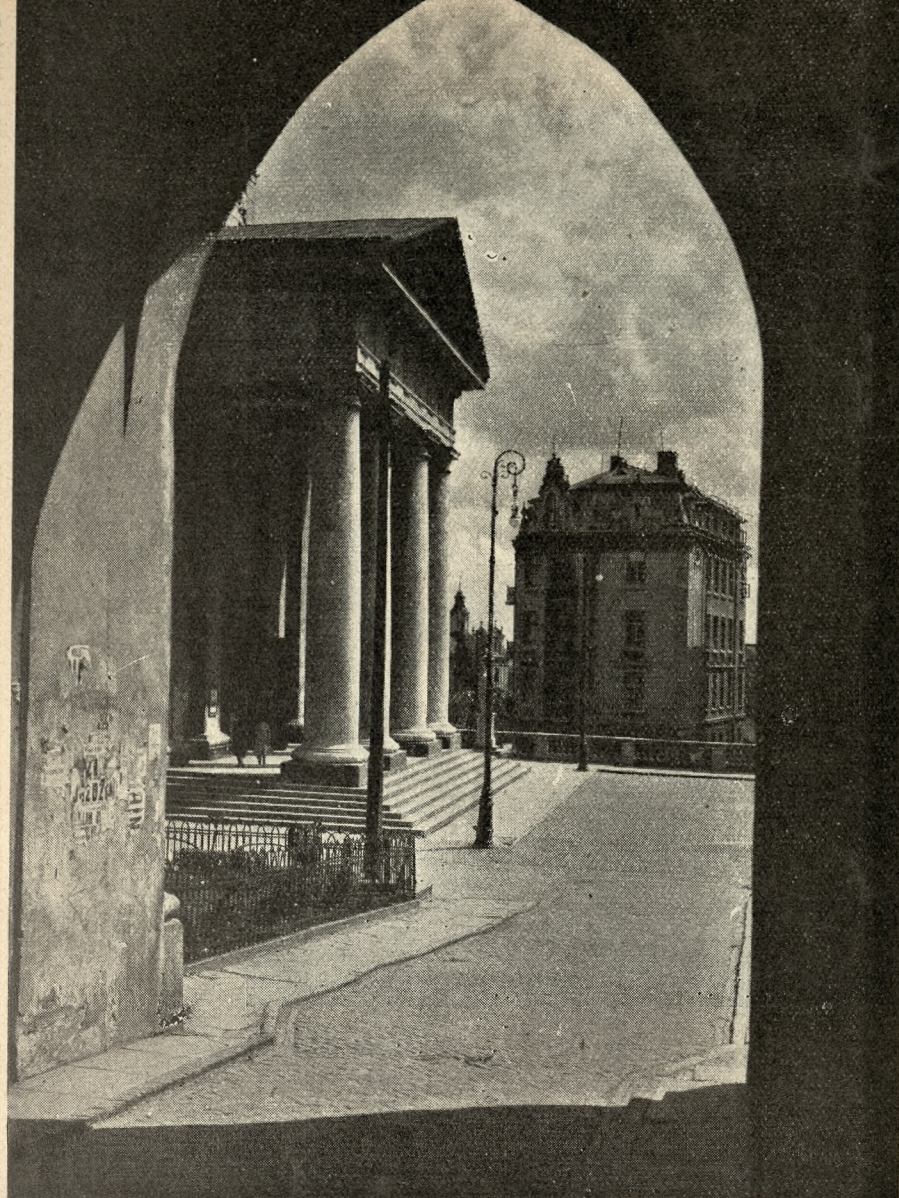
Brama Grodzka na różowo pomalowana, może się to komu nie podobać, ale kolor różowy i czerwony są ulubionymi Lublina i każdy musi przyznać, że mu z tem do twarzy. Monogram króla Stanisława oznacza naturalnie odnowienie Bramy, bo cóż dla takiej staruszki sto kilkadziesiąt lat! — Rozmyślałam o jej dziejach, gdy raptem potykam się... o pudełko z krawatami, spinkami i inną konfekcją męską, ratuje sytuację kosz jabłek, okrzyk i głośnie giergotanie, na kosz jabłek spoglądam z wdzięcznością i myślę znowu: „handel i przemysł są bogactwem narodu, muszą się krzewić wszędzie”. Ulica Zamkowa wąska, wznosi się

wgórę, gęstość zaludnienia, a razem powietrza rośnie też! Chwała Bogu, chmury się zbierają, ale chciałabym, żeby deszcz padał parę razy na dzień tylko nad starym miastem, bo przecież gdzieindziej niepotrzebny, a tu pomaga magistratowi!

Zamek Lubelski pamięta czasy Piastów, Jagielly, Zygmunta Augusta!

Stoję przed wielkimi, imponującymi murami niby fortecą. Brama zielona z okragłym okienkiem, bo zamek przerobili Moskale na więzienie olbrzymie, zdaje się, że przestępcy z całej Polski mogliby odsiadzać w nim karę. Smutno mi. Zaprawdę ten bliski Wschód i ten dalszy, z Azji, jakby sobie rękę podały na górze zamkowej, by zniszczyć, zgładzić naszą kulturę zachodnią. Wiekowe, piękne niegdyś kamieniczki, dziś przepełnione ludnością żydowską, która odznacza się tem, że na niskiej stopie materialnej niema żadnych wymagań mieszkaniowych. Może słowa Biblii do tego się przyczyniają: „żona Twoja, dom Twój”, to też z zaniedbanych przeraźliwie mieszkań wychodzą postrojone żydówki, a biedne wspaniałe dotąd „dworce”, pałace na Szerokiej, Rybnej, Kowalskiej i wielu innych, są haniebnie wyzyskiwane, bo nikt ich nie naprawia, i nie odświeża (choć ilość mieszkańców trzeba obliczać chyba w stosunku do centymetrów kwadratowych). Są też fragmenty wprost egzotyczne, na stokach gór spiętrzone kolorowe domki, wąskie uliczki, gwar i hałas.

Ale już dosyć rzeczy smutnych, zaczynam hymn pochwalny na cześć Lublina, bo pomimo wszystkich braków, jest jednym z najładniejszych miast, jakie znam, a znam ich wiele; w Polsce wszystkie.



Znane jest piękno dachów Paryża, o pięknie dachów Warszawy też się mówić zaczyna, o Lubelskich zapomnieć nie wolno. Podziwiać je można ciągle, bo Lublin zabudowany jest doskonale, na Krakowskim Przedmieściu domy poważne, harmonijne 2 i 3-piętrowe, niema denerwujących kontrastów, jak w Warszawie—koło 4-piętrowej kamienicy parterowy domek. Ulice boczne, nowsze mają 3 i 4-piętrowe kamienice o ładnych fasadach, pełnych kwiatów, a każda prawie ulica ma jakąś nieoczekiwaną głębię: ul. Kapucyńska wieżę i dachy gotyckie byłego kościoła P. P. Brygidek dziś SS. Urszulanek, ul. Szpitalna fasadę gotycką tegoż kościoła, zwracają też uwagę śliczne jezdnie, ułożone z kolorowych klinkierów (specjalny gatunek cegły), wyglądają jak posadzki. Nieoczekiwaną a najmielszą niespodziankę przedstawia ulica Niecała, „cartier” najelegantsze, kamienice nowoczesne, a w perspektywie przez łąkę, na wzgórzu chatki wybielone, z płotkami, ogrodami, z drogą wiejską, prawdziwa zaciszna wieś, wygląda to nie na rzeczywistość, ale na dekorację! I westchnęłam gorąco, żeby tak trwało, żeby ulice, które tam mają przeprowadzić, zachowały charakter wiejski, niech budują dworki, chaty w ogrodach, a broń Boże kamienice! I tak można wyliczać niespodzianki Lublina bez końca, tworzące prześliczne fragmenty, pełne czaru, zakątki, którym brakuje tylko Bułhaka, by uświadomił i ro zgłosił ich piękno na swych fotografiach. Zawdzięcza to Lublin i fałistości położenia i starym, krętym, półkolistym, ukośnym, łamaną linią biegnącym uliczkom, po których można błądzić jak w labiryncie! Czy nie pasjo-

Kamienica Sobieskich na rynku.

(fot. Poddębski).

Widok na katedrę spod bramy trynitarńskiej.

(fot. Poddębski).

Lublin jest najbardziej polskim miastem, t. j. miastem polnego kraju, bo z najdusznieszego z najwięcej zabudowanego kąta zobaczysz raptem z za węgla domu pole, szumiące zbożem, kopki żyta, wyjdiesz z bramy Grodzkiej, orzeźwi cię powiew z pól, wyjdiesz z bramy Krakowskiej — na prawo daleki horyzont, i wie się, że tak właśnie było od lat setek, to jest tą cudną niespodzianką Lublina.

A jaki widok rozległy z placu Św. Michała: łąki, rzeki, pola, lasy dalekie, „jak zasięgniesz tylko okiem”... I tu w kamienicy oznaczonej tablicą pamiątkową urodził się Wincenty Pol. Lublin swojemi wielkimi niespodziewaniami „oknami” na całą Polskę rozbudził w nim miłość do ziemi naszej. Czy za to niema się specjalnego sentymentu dla tego, bardzo milego, miasta? A jest jakby zapoznany. I sam jakby w swoją piękność, w swoje cudowne na pagórkach położenie nie wierzył, a przecież żadne z naszych miast dużych takiej, bogato urozmaiconej, panoramy nie posiada. Góra ze wspaniałym gmachem starego Seminarjum Duchowego, góra Zamkowa, góra z nowym gimnazjum Biskupiem. Prześlicznie na stokach i na przełęczach tych gór piętrzą się, łamią i układają dachy pałaców, domów, klasztorów, kościołów.



nujące dla turysty! Ale radzę albo wpierw doskonale plan miasta przestudjować, albo pytać przechodniów, bo liczyć na własną orientację trudno: łatwo wrócić do tego samego miejsca, skąd się wyszło!

Ale nietylko turysta, cheiwy wrażeń, nowych fizjonomji miast, ale i miłośnik sztuk pięknych, historycznych zabytków znajdzie w Lublinie nieskończoną ilość rzeczy zachwycających. Więc przedewszystkiem Rynek z dawnym Ratuszem, oraz siedzibą sławnych Sądów Trybunalskich. Stare kamienice rozsiadły się szeroko niby damy w krynolinach, kamienica Sobieskich najbogaciej dekorowana, Brama Krakowska, o potężnych murach, prowadzi na Krakowskie Przedmieście, na ul. Królewską. Wiele dawnych pałaców: Jabłonowskich, Sapiehów, dawnych klasztorów, kościołów, najbardziej interesujący kościół św. Trójcy na Zamku z malowidłami z czasów Władysława Jagiełły, św. Mikołaja na pagórku wśród lip, a, jak tradycja niesie, fundowany przez Mieczysława I-go w 986 r., kościół i klasztor PP. Brygidek, Bernardynów z pięknymi pomnikami, Dominikanów również stary, wspaniały kościół, posiadający cenną i wzruszającą relikwję Krzyża Świętego, w każdy piątek o 9-ej rano wystawianą w czasie Mszy św. Kapucyni mają niewielki lecz ładny kościół i klasztor. Katedra zasługuje również na zwiedzenie, jak wiele jeszcze kościołów, których razem jest obecnie 24! A budowano je, jak i klasztory, nietylko wśród miasta, ale daleko na przedmieściach dotąd odległych. Kolejne były ich różne: klasztor Dominikanów Obserwantów na Raclawickiej, wspaniały gmach, w czasie niewoli koszar, dziś gmach Uniwersytetu Lubelskiego. Klasztor Franciszkanów na Kalinowszczyźnie czas jakiś rodziny żydowskie zamieszkiwały, dziś z ogro-

Brama grodzka.

(fot. Poddębski).



Wnętrze kaplicy zamkowej.

(fot. Poddębski).



mną wytrwałością i energją, literalnie własnymi rękami, odnowiony z ruin przez OO. Salezjanów.

Inny znów los spotkał klasztor i kościół OO. Reformatów na ul. Bernardyńskiej, zamieniony w 1845 roku na browar, który dotąd w nim pozostaje, a pamięć o Reformatach zaginęła w Lublinie, choć w XVII i XVIII w. cieszyli się wielką popularnością i zaufaniem, o czym świadczą stare dokumenty, które z wielką uprzejmością pozwolono mi przejrzeć w archiwum Lubelskiem, znajdującem się w dawnych, pięknie sklepionych refektarzach klasztoru Brygidek.

Jeden akt śliczną polszczyzną pisany z czasów króla Jana Kaz. Stanisław-Dunin hrabia Skrzyński na Celiowie, Borkowski, dworzanin pokojowy Króla Jegomości — Wszem wobec y każdemu z osobna komu to widzieć należy do wiadomości podaję, żem Dworzec mój w Lublinie na ul. Kowalskiej będący podług domu, JWP. Lubienieckiego z iedney, a Pasanowską z drugiej strony Oycom Reformatom św. Franciszka, którzy teraz fundamenta Conventa Conventu swego zaczynają na potrzeby ich y pomnożenie fundacyj dać daruię... y ręką się swą podpisuię Stanisław Dunin Borkowski Dworzanin J. Hell. Roku 1663.

Smutno jest teraz patrzeć, że kościół i klasztor Reformatów, choć mury dobrze się zachowały, to browar, naturalnie żadnych pamiątek, pomników, a wiadomo, że grzebano obok zakon-

ników i rycerzy, o jednym mówi napis na starym portrecie: „Po wielu nad Turkami, Tatarami i Kozakami zwycięstwach, umarł w Sarnach rokiem przed śmiercią króla Jana III, niegdyś wodza swego, lat 90 wieku swego licząc, pochowany w Lublinie w kościele OO. Reformatorów.“

Tuż zaraz do murów dawnego kościoła przypiera o wielkich rozmiarach pałac Sobieskich; w połowie wieku XIX, wieku krańcowych ideałów, romantycznym, a zmieniającym klasztory na browary. Pomysł jakiegoś przemysłowca kazał postawić na szczycie pałacu wielki wiatrak, dziś wiatraka nie ma, a pałac został, znajduje się w nim prywatne gimnazjum i, pomimo wszystkich przejść, zachował cechy okazałej rezydencji, jak browar zachował wygląd kościoła i klasztoru... Jest w tym coś z romantyzmu, jest chęć zachowania pamiątek historycznych! Nie przechodzili koło nich obojętnie, jak my dzisiaj, pomimo Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Za to „Jutro“ nie wydaje się być obojętnym dla historii i jego pamiątek. Ocenę całą wartość i urok, jaki posiada każdy najmniejszy zakątek, z którym związane jest piękne wspomnienie.

I dlatego pojechałam do Sławinka. Od parku Saskiego, ślicznie na góreczkach i górkach położonego ze stuletnimi drzewami jedzie się 15 minut za 20 groszy do najbliższego letniska. Wśród pól, lasków dużo rozrzuconych willi w wielkiej różnorodności krajobrazu. Tu domek w jarze, tam na górze, w sadzie, nad rzeczką, przy młynie, inne przy szosie, w ogrodach. Celem mojej wycieczki jest dwór, należący kiedyś do stryja Tadeusza Kościuszki, prowadzi do niego długa, wgórę idąca aleja lipowa, na jej końcu o łamanym dachu stary dworek wśród kwiatów z wielką lipą obok. Tak

tu być musiało, gdy Pan Tadeusz Kościuszko przybywał w odwiedzin. Na pamiątkę tych odwiedzin kamień z napisem „Tadeuszowi Kościuszce“.

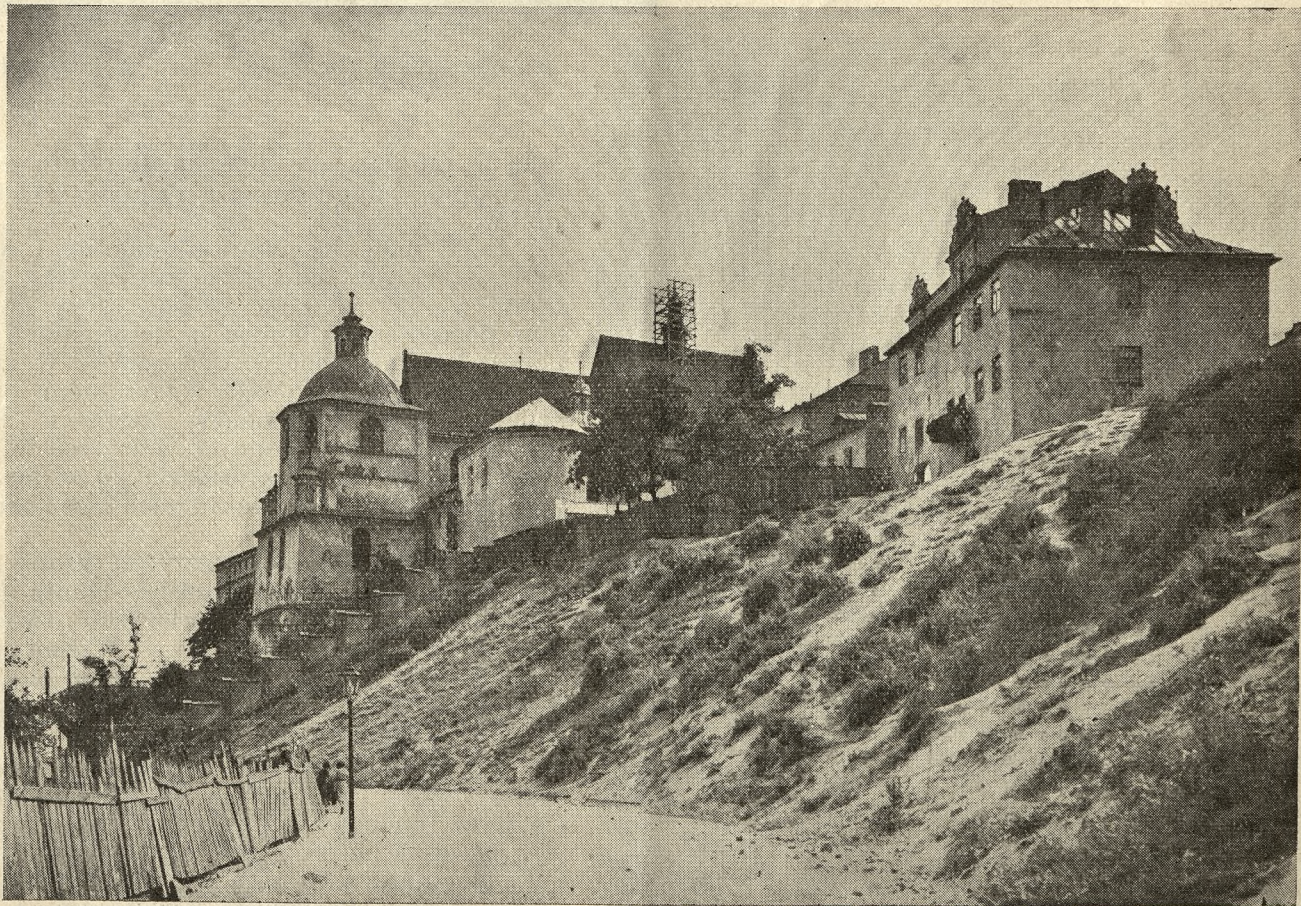
Korzystam z wielkiej uprzejmości obecnych właścicieli pp. M. i zwiedzam wnętrze, w ganku nad drzwiami wejściowymi ładny obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, malowany na blasze, od dawnych lat tu wisi, pokoje obszerne z wysokimi progami, z odwiecznymi oknami, mającymi filarek pośrodku tak, że można każde skrzydło oddzielnie otwierać, ciekawe są „zaszczepki“ przez kowala w własnej kuźni wykute. W ogrodzie zwiedzam osobliwość Sławinka: wielki czworokątny wał z wjazdem pośrodku, okoliczną ludność „pałacyskiem“ to nazywa, obok „pałacyska“ wiele kopców większych i mniejszych, dalej głęboki jar, wygląda to razem ogromnie tajemniczo, jakby jakieś grodzisko z czasów słowiańskich! Dotąd nikt tego nie badał! Poniżej „pałacyska“, na łące, sławne swego czasu źródła żelaziste. Łazienek nie ma już śladu, nie wytrzymały konkurencji z Nałęczowem.

Czy mój skromny opis Lublina nikogo nie zachęci do zwiedzenia dokładnie tego „bardzo przyjemnego miasta“, tonącego w ogrodach? Dodać muszę, że aprowizacja jest doskonała, specjalnością bardzo smaczne i tanie wędliny, owoce, a ogórki wprost od ogrodnika jeszcze osypane zlekką ziemią i rosą ranną skropione.

A kto raz Lublin pozna, chętnie odwiedzać go będzie, bo należy do rzędu miast, które się uważa za dobrych, miłych znajomych, do których się tęskni i śpieszy dowiedzieć: co słychać nowego?

Lublin, w lipcu 1934 r.

Marja Grujanka.



Tyły kościoła Dominikanów.

(fot. Poddębski).

Dwór w filmie 90%

„W każdym pensjonacie jest 90% niewygód na 10% wygod, wszystko więc jedno czy pani zostanie tu, czy pojedzie gdzieindziej”, — pocieszała mnie pewna wszędobylska, gdy, zdumiona prymitywnym urządzeniem pensjonatu we dworze, myślałam o odwrocie.

O tyle miała rację, że w pierwszej chwili wszędzie wydaje się trochę dobrze, lub bardzo źle, ale z biegiem czasu, gdy się wszystko ułoży, stosunek staje się odwrotny. Inna rzecz, o to „dobrze” należy się dobijać. Tu bowiem, jak i w życiu, nic się nie dostaje, a wszystko się bierze. Ile przytem walczyć należy, ile bohaterstw czeka każdego z nas w miejscu, przeznaczonem na odpoczynek! Toczyć spór o gorącą wodę, bo, jak słusznie zauważyła jedna wakacyjna towarzysza, „czasem” nogi umyć trzeba, nawet kąpać się codziennie w Narwi.

Zmniejszenie procentu minusów na korzyść plusów w wielkiej mierze zależy od nas samych, nie zatrudniając własnego słońca oszczędnością tłuszczów, cieszymy się światłem, choć na wsi nie dają dostatecznej ilości witamin!

Gorzej, gdy pada deszcz... lećć bezpośrednio z nieba i, trochę, pośrednio, z sufitu. Wówczas wracamy do pierwszego, złego wrażenia, wyrzekamy na wszystko. Bo i czym zabić czas, jeśli nie krytyką, bridżem i flirtem? „Chyba zacznę czytać książkę”, wzdycha pewna dama „z inteligencji”. Jaką książkę? Żadnej ze sobą nie przywiozła, we dworze jest biblioteka, ale w zeszłym roku mało kto oddał, co wziął, więc oszklona szafa otwiera się tylko dla zaufanych. Każdy więc błaga, by deszcz nie zużytko-

wał całej jego cierpliwości. „Niech pada po wyjeździe. „Après nous le déluge”, mówi najbardziej altruistycznie nastrojony letnik, z miną króla słońca, w tej epoce powszechnego bezkrólewia.

DODATNI I UJEMNY WPŁYW MIESZCZUCHÓW NA WIEŚ- NIAKÓW.

Tak brzmiałby podtytułik lat temu dwadzieścia. Obecnie należy sprawę uprościć, sprowadzając ją na tory praktyczne: co daje wieś, a co daje miasto? Mieszkaniec Warszawy przez miesiąc urlopu bierze odwet za kradzież popełnioną na nim przez cywilizację. Żyje na łonie przyrody, nie kawiarni, pozwala odpocząć swym włosom, nogom i nerwom. Odnowa przechodzi pogładową naukę wszechświata, poznaje, od czasów dzieciństwa wiele razy zapomniane tajniki przyrody, powtarza gwiazdozbiory i planety, polski len widzi w błękitnym kwieciu, cieszy się zapachem dymu, od rybaka uczy się mądrości wodnej, od rolnika ziemnej. „Pastucha” tłumaczy, że wielkie, jasno zielone srebrem podbite liście, nieco do łopucha podobne, tylko wydłużone i bardziej ostro zakończone, to jest podbiał, inwentarz rogaty tego nie je, ale lubią go owce, łase na wszelki „gorzec” i ludzie używają, jako skutecznego lekarstwa przeciw chorobom piersiowym. Stosy muszli, dość wielkich, mogłaby się w nich pomieścić mała ostryga, leżą nad brzegiem. Okazuje się, iż zamieszkujące w nich ślimaki zawierają bardzo wiele fosforu i są pokarmem doskonale tuczącym chlewnię. Potrzeba jest idealną matką medycyny. Te swoje „portugaises” świnie popijają nie Chablis, ale zwykłą wodą.

Mieszczuch poznaje ceny produktów, na które w mieście dorastają dodatki i podatki, widząc miejscowe warunki nie powie: „wsi spokojna, wsi wesola...” Choć tańczą tu tango, baby nie chcą sprzedawać płótna, a w domu „Amerykana” są czeczotkowe meble. Chłop z za oceanu przywiózł ład, porządek i większą potrzebę kultury, aniżeli tego wymagają „państwo”, ściągające na lato do dworu.

Mieszczuch styka się z ludem przy pracy, ich pracy, bo sam przecież odpoczywa i przy wspólnej zabawie. Na pastwisku dla ozdoby i granicy oddzielonem powojennym drutem kolczastym bez względu na miesiąc odbywa się majówka, urządzona przez straż ogniową. Wieś i miasto łączą się w pary.



...Kajakiem jeździ się na pobliską Wyspę Miłości.

NAMIĘTNY ODPOCZYNEK.

Kobiety pracujące, mężatki czy panny, mają specjalną postawę wobec pensjonatu i lata. Posiadają wielką pewność praw i stanowczość wymagań. Pragną wyzyskać czas urlopu, więcej, przedłużyć wakacje. Umieją to czynić. Nie widziałam, żeby mężczyzna tak namiętnie wypoczywał, jak jego koleżanka. Biorą sto % słońca i ludzi. Bawią się dobrze, bez względu na to, czy same czy z kimś. Uśmiech ironji u niektórych, u mnie najwyższe uznanie wywołała samowystarczalność dwóch sióstr, które całe dnie spędzały razem, kąpać się, gimnastykując, spacerując, wieczorem zaś tańczyły ze sobą. I nie były to wcale „dziwaczne” stare panny, tylko osoby, które zostawiły swych mężów „w interesie” na Elektoratnej, a przyjechały odetchnąć świeżym powietrzem. Może wolałyby mieć nowe znajomości, ale skoro nie miały, bawiły się bardzo wesoło.

Powodzenie w życiu i na wakacjach, rzecz dość dziwna. Jakiś anioł, kwoka, czy djablica otoczona jest od rana do wieczora. Może nawet trochę później. Każdy nowy gość musi ulec je czarowi. Zawsze, choć na krótko, ktoś przy niej jest. Nigdy nie chodzi na spacer sama. Przez to nie naraża się na niemiłe pytanie: „Pani widocznie szuka przygód”. Przygoda jej szuka. Inna zaś kobieta, nie posiada wielu zmiennych wielbicieli, czasem w danym zespole nie spotka nawet żadnego, ale gdy zbliży się do niej człowiek, przez los odkomenderowany z rozkazem: „zakochaj się”, pokocha trwale.



Małe pranie (fot Kodak).



...lubią go owce, łase na wszelki gorzec...

Umiejętność samodzielnych kobiet w wyzyskaniu lata polega też na tem, iż doskonale się poprawiają i szybko pięknieją. Może uroda więcej im potrzebna na wsi, niż w mieście? Skromna osóbką w kilka dni zamienia się na piżamową bachantkę. Otacza ją rój zachwyconych rywalek i mężczyzn, choć nie chcieli nawet patrzeć na takie chuchro. Teraz jest znacznie powiększona ilość kandydatów do flirtu i małżeństwa. Przecież żonaci mogą się rozwieść, a wiek nie stanowi przeszkody w miłości. Uczniowie z szóstej klasy uwodzą mężatki...

Na plaży ślicznie i równo opalona, z brzuszkiem wydatnym, jak na średniowiecznych posągach, ukrywa dwa punkty wstydlive, mężczyzna już zaledwie jeden... Kajakiem jeździ na pobliską Wyspę Miłości, kostjumem swym budząc jeszcze zgorszenie rybaków: 18-ty wiek podróż na Cyterę odbywał w zbyt skomplikowanych strojach, 20-ty stoi na granicy nudy.

Czułą opieką samiczki otacza trzy jajka rybitwy znalezione w gniazdku z piasku, jak dziecko cieczy się, gdy motyl usiadł na ręce i skrzydła jego, niby żagle, wiatr gnie w stronę swej woli... Popołudniu flirtuje, robi pullower, zimowy mundur pracy, wieczorem, im dłużej tu jest, tem ładniejsze pokazuje suknie, wiruje w objęciach porucznika, który niedawno tańczył po niebie, a teraz fruwa po posadźce. W końcu spaceruje pod sklepieniem usianem gwiazdami i samolotami.

MATKA I OJCIEC.

Zauważyłam, że kobiety, pracujące zawodowo, które przez cały rok myślą o tych kilku tygodniach „tylko dla siebie“, jeśli przywiozły tu swoje dzieci, są najgorliwszymi matkami, poświęcają im o wiele

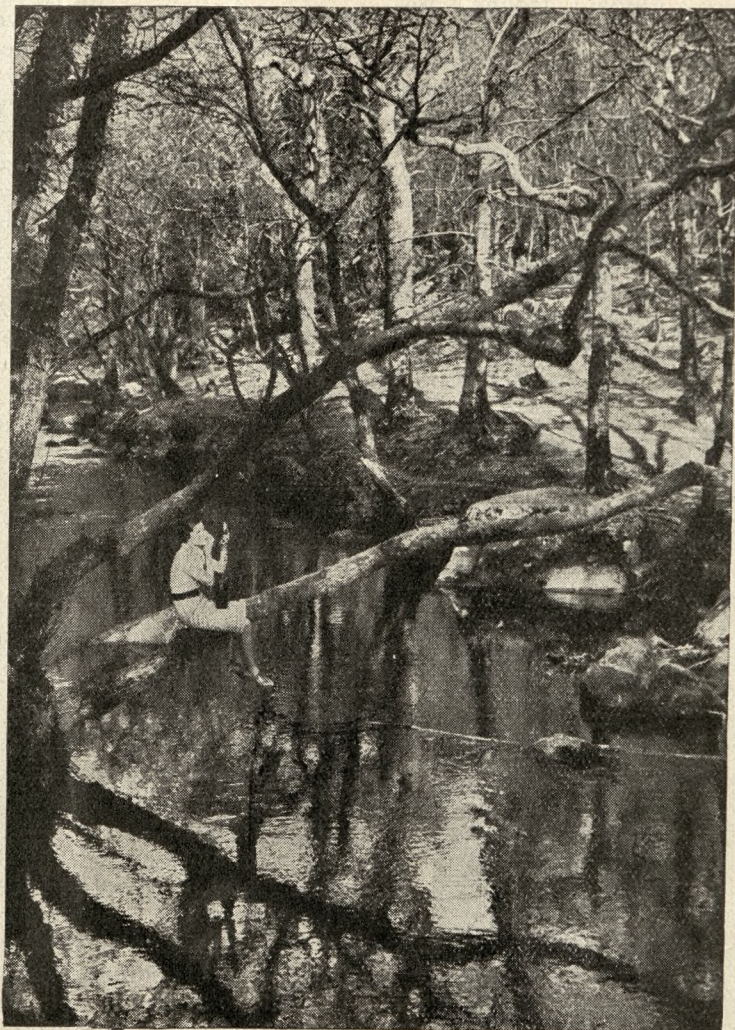
więcej troskliwości i czasu aniżeli panie, nic nie robiące przez cały rok. One bowiem, zajęte swą pięknnością i zabawą, opiekę nad drobiazgiem powierzają wychowawczyniom, każąc im przytem cerować swoje jedwabne pończochy. Toteż projektowany konkurs na „najlepszą matkę“, nie przyszedł do skutku, gdyż zgóry wiadomo było, że nagrodę weźmie mężczyzna. Był to ojciec, który podjął się dotrzy-

mać towarzystwa pięcioletniej córeczce. Zdziwiona tą parą, o której tysiącogębna fama szybko rozniosła wieść po lesie, polu i rzece, poszukałam nowoczesnego bohatera, żeby spytać, czy da sobie radę, czy nie jest to zadanie ponad siły? W odpowiedzi na mój niepokój uśmiechnął się dobroliwie: „Naturalnie! Cóżbym tu innego miał do roboty“.

Po dwóch dniach zmienił widocznie zdanie co do możliwości innego tu zajęcia, wziął opiekunkę z grona miejscowych, niefachowych dziewcząt, dzięki jej pomocy miał czas zająć się matkami innych dzieci, nie zaniedbując bynajmniej dobrowolnie przyjętych obowiązków, zaco, wdzięczna Kasiunia, odwzajemniała się grzecznością, to też „dobry ojciec dobrego dziecka“ najlepiej reprezentował trwałość rodziny.

LETNIK LETNIKOWI...

Powiedział pesymista Hobbes, że człowiek człowiekowi jest wilkiem. Nie, letnik letnikowi nie jest wrogiem. Złączony wspólną niedolą często staje się dobrym przyjacielem i dobrym doradcą. Panowie podają paniom płaszcze, to jest grzeczność z zamierzonych czasów, ale można ją połączyć nowymi wymaganiem galanterji — objąć, przy-



...Skromna osóbką w kilka dni zamienia się w bachantkę.

tulić... Panie pakują panów, do-
prawdy z tak wielką pieczołowito-
ścią, jakiej objawy rzadko widzimy
w małżeństwie, arystokratki flirtu-
ją z kucharzem, słowem każdy ba-
wi się, jak umie, we dwoje, w kół-
kach, kółeczkach zauważyłam tyl-
ko jedną smutną rzecz, gromadnie
bawić się nie umieją. Nie to, co na
14 lipca w Paryżu!

Kilka osób z „zachodu“ chciało
urządzić święto morza, tańczyć i
śpiewać przy stosie. Palily się łomy
gałęzi, łaskawie przez dziedzica na
ten wieczór poświęcone, ale w ser-
cach nie płonęła wesołość. Wszyscy
szukali swoich najbliższych znajo-
mych, „nie podam ręki byle komu,
żeby razem z nim skakać też wokół
ogniska! Minęły czasy prasłowiań-
skie!“

W pensjonacie zakwitają kobiece
przyjaźnie. Zwolna i ostrożnie, jeśli
zbliżają się osoby doświadczone,
znagła i gwałtownie, jeśli sąsiedz-
two połączy dwa kobieciątka.

Na oko manifestują się one cią-
głą rozmową tych dwóch młodych
pań, świeżo poznane mają sobie
tyle do opowiedzenia, wszystko co
zdarzyło się w ich krótkim życiu.
Zresztą cóżby innego robiły, gdyby
nie gadały? Musi ciągle mówić kto
szczęśliwy, niema o czym myśleć.
Wszędzie ciągle słyszą młode i za-
borecze „my“, „nam“, „nasze“.

Poza sobą wiele czasu poświęcają
pensjonatowi. Świat pewno zaczy-
na się gdzieindziej, ale kończy tu,
na czas naszego pobytu. Należy u-
stalić pozycje społeczne i finansowe
wszystkich zgromadzonych. Wyszło
rozporządzenie, iż niewolno letni-
ków pytać o papiery, właścicielka
nie może udzielić informacji, ale
drobne, prywatne biura wywiadow-
cze świetnie funkcjonują. „Ta inżyn-
ierowa to wcale nie jest inżynie-
rową, tylko tak kazała się nazywać“.
„Doktor, który odwiózł tę brunetkę,
to bynajmniej nie jest jej mąż“...
W pensjonacie, jak w filmie, ciągle
szuka się skandalu: „Ktoś ma ko-
chanka, ktoś kogoś okradł“.

Rozstanie dwóch sezonowych
przyjaciółek, o ile do końca pozo-
stały w zgodzie, bywa rozdzierają-
ce. Aby umilić pożegnanie, obiecują
do siebie dzwonić...

Zresztą wszystkie kółka zbratane
na wsi żegnają się z nadzieją widy-
wania w mieście. Maturzyści na-
znaczają sobie zjazdy za pięć lat,
przygodni koledzy, w obawie że
przyjaźń ich nie wytrzyma próby
czasu, za miesiąc mają się spotkać
u Węgierkiewicza. Ale gdy tylko
samochód odjedzie od ganku, każ-
dy się biedzi, jacy będą nowi go-
ście, których przywiezie? Nigdy
zasada „le roi est mort, vive le roi“,
nie jest słuszniejsza, niż tutaj. Nie-
kiedy zjawiają się bardzo dziwne
osoby, do których trudno się ustoi-



Jesienne orki już się zaczęły.

sunkować: zbieracze roślin, ewan-
geliczni opiekunowie zwierząt, słu-
chający chętniej rozsądnego głosu
radja, aniżeli płochego głosu pate-
fonu...

Czasem do pensjonatu przyjeżdża
literat. Nieliteraci w stosunku do li-
teratów są, jak cywile w stosunku
do wojskowych. Dzieli ich munda-
tur i cały świat. To też każdy pi-
sarz, jeśli nie chce utracić prestiżu,
winien trzymać się z daleka od
zwykłych letników. Kobiocie do pi-
sania potrzebny kochanek, do ko-
rekty mąż, mężczyzna od niej szczę-
śliwszy może zaszyć się w leśni-
czówce i tam pracować, czasem tyl-
ko i w części pokazując się śmier-
telnikom. Gdy zobaczą szew jego
rękawa, cień jego bucika, ćwierć
rąbka aureoli, ponieważ każdy wi-
dział film „Niewidzialny Człowiek“
nazwie go „Wielkim niewidzial-
nym“. Tak rośnie sława...

Pensjonaty we dworach są tak
dziś rozpowszechnione, że rywali-
zują z uzdrowiskami. Nic więc dzi-
wnego, iż pewna firma postanowiła
nakręcić dźwiękowiec na tle pol-
skiej wsi. Wybrali tę, w której ba-
wiłam, bardzo reklamowaną, wła-
ściwie jej ogłoszenie powinno by
brzmieć: „Woda bieżąca w rzece.
Dyskretnie światło księżycowe. Kort
tenisowy do zrobienia. Dwa słupy
do siatkówki. Powietrze do jedze-
nia. Opieka niemoralna. Klimat e-
rotyczny. Miłość i flirt. Flirt i mi-
łość w dowolnej ilości. Bez kon-
sekwencji“.

Ofiarowałam się napisać scena-
rjusz, czerpiąc ze zgromadzonego w
tym artykule materiału. Czy dając
życie letników nad Narwią jedno-
cześnie odtworzę wogóle życie let-
ników w naszych manoirach?

Aura Wyleżyńska.



Wiejski kościół w cieniu kasztanów.

Jak pracują kobiety

W królestwie książki.

Milczenie i cisza oplatają wielką salę Biblioteki Publicznej. Na niewielkim podniesieniu siedzi bibliotekarka. Skupienie i powaga malują się na jej młodej twarzy. Przed nią piętrzą się książki, katalogi i notesiki.

— Kultura XIX wieku?

Bibliotekarka daje wyczerpujące informacje i kieruje czytelnika do odpowiedniego katalogu.

— Zarys literatury francuskiej w XVII wieku?

Bibliotekarka nie waha się ani chwili. Jej wszechstronna erudycja napawa mnie zdumieniem.

— Czy pani przejrzała encyklopedję, leżącą na dolnej półce?

Stosuję się do otrzymanych wskazówek, lecz nie znajduję potrzebnego materiału.

— Poszukamy w moim podręcznym katalogu. A jeżeli i tam nic nie znajdziemy, radzę pani zajrzeć do encyklopedji, leżącej na prawej półce, tom I V, str. 400—435.

Do bibliotekarki podchodzi wiele osób. Każda zwraca się do niej z innym pytaniem i na każde otrzymuje wyczerpującą odpowiedź.

— Chyba niema dziedziny, której pani nie zna! — zauważam.

Obrzuca mnie zdumionem spojrzeniem.

— Przecież to mój obowiązek dopomóc każdemu w miarę możliwości!

W Bibliotekach Publicznych Rosji Sowieckiej znajduje się zeszyt, w którym czytelnik zadaje bibliotekarce pytania i podpisywanie ich nie jest obowiązkowe.

— Jest to bardzo wygodny sposób — tłumaczy bibliotekarka — bo czasami pytanie zdradza braki w wykształceniu, a zeszyt leży na widocznym miejscu...

Bibliotekarka spędza pół dnia w klasztornej ciszy Biblioteki, w towarzystwie milczących czytelników i nie mniej milczących foljałów. Ale bibliotekarka nie tylko dopomaga swoją erudycją łaknącym wiedzy. Jest ona piastunką książki, jej wychowawczynią i lekarką.

— Jak można! — oburza się, patrząc na załamane brzozy, wyrwane, lub wycięte kartki, uwagi i notatki na marginesie.

Do niej należy zakup książek, oprawa, inwentaryzacja i katalogowanie.

Istnieją dwa rodzaje katalogów: tak zw. alfabetyczny, z którego czytelnik dowiaduje się, czy dana książka znajduje się w Bibliotece i działowy lub rzeczowy, odpowiadający na pytanie: co jest w danej dziedzinie?

Katalogowanie książek jest oparte na systemie dziesiętnym. Wyobraźmy sobie w przecięciu koło, podzielone na dziesięć części, z których każda oznacza pewną zasadniczą dziedzinę wiedzy, oznaczoną z kolei porządkowymi numerami: filozofję, sztukę, nauki społeczne i t. d. Każda zasadnicza dziedzina dzieli się znowu na dziesięć działów, oznaczonych dalszymi numerami. Np. sztuka — na malarstwo, rysownictwo i t. d. Te znowu dzielą się na nowe dziesiątki i t. d. W ten sposób tworzą się gotowe wzory, stanowiące cyfrowy język międzynarodowy. Bo we wszystkich Bibliotekach Anglii np. będzie oznaczona Nr. 42, polityka Nr. 32, a skójarzenie powyższych 2 liczb oznacza politykę Anglii.

Zadaniem bibliotekarki jest wprowadzić książkę do odpowiedniego działu, opatrzyć ją właściwymi numerami, sygnaturą i umieścić na ściśle określonym miejscu.

— Czy pani się nigdy nie myli? — pytam.

— Przecież najmniejsza omyłka może wprowadzić czytelnika w błąd — brzmi wrzuszająca w swej prostocie odpowiedź.

— Powieści winny być szczególnie segregowane — wzdycha. — Pamięć czasami zawodzi, a na każde pytanie należy mieć gotową odpowiedź. Np. nie sposób zapamiętać tytuły wszystkich powieści lotniczych, historycznych i t. p.

W świątyni książki przebywają ludzie, łaknący wiedzy, i bibliotekarka ze świata książek wchodzi do świata żywych istot, którym również jest nauczycielką i wychowawczynią. Bo Biblioteka Publiczna jest krynica wiedzy, a bibliotekarka nie tylko odpowiada na określone pytania, ale stara się przejrzyć każdego czytelnika, zająć go, wykształcić i zabawić.

— Chciałbym się czegoś nauczyć, a nie wiem, od czego zacząć — mówi nieśmiało młody chłopiec.

Bibliotekarka obrzuca go przenikliwym spojrzeniem, poczem kreśli

na kartce pismem drukowanym, obowiązującym w Bibliotekach, nazwiska kilku autorów.

— Sądzę, że pana zainteresują — szepcze.

Po pewnym czasie zaobserwowałam na twarzy chłopca zadowolenie, które napawa mnie zdumieniem.

— Wystarczy spojrzeć na człowieka, aby zorjentować się w jego umysłowości i stopniu wykształcenia — tłumaczy bibliotekarka, która umie utorować każdemu drogę w świecie książek.

Bibliotekarka skończyła gimnazjum, posiada dyplom Wolnej Wszechnicy, zna kilka języków, odbyła praktykę i zdała bibliotekarski egzamin. Zarabia tylko 200—350 zł. miesięcznie, to też pracę naprawdę z miłości do książki! Jej zajęcie jest ciężkie, odpowiedzialne, wymagające wiele cierpliwości, uwagi i taktu. W jej pamięci leżą uporządkowane katalogi, numery, półki, encyklopedje, stronice i nazwiska autorów.

I światem bibliotekarki jest królestwo książki.

St. Osińska.

Gdzie jest prawda w kosmetyce

Od 10 lat istnienia, celem „Pierwszych w Polsce, wzorowych, Kursów Kosmetycznych” i „Pierwszej w Polsce, wzorowej, Szkoły Masażu Leczniczego” jest wykształcenie i wychowanie fachowych, samodzielnych, inteligentnych i zamożnych kosmetyczek i masażystek, zdolnych do poważnej, odpowiedzialnej pracy z pożytkiem dla społeczeństwa i siebie.

Ukończenie Kursów i Szkoły daje prawo praktyki i otwarcia własnego gabinetu kosmetycznego.

Nauka obejmuje przedmioty obowiązkowe, zatwierdzone przez Departament Zdrowia, oraz nieobowiązkowe, dodatkowe i specjalne. Ćwiczenia obejmują wszelkie nowości krajowe i zagraniczne z zakresu zabiegów kosmetycznych, stosowania i przygotowania środków kosmetycznych, oraz zabiegi zdobnicze, jak manicure, fryzjerstwo, maquillage zwykły, sceniczny, filmowy i t. p.

Kursy posiadają wzorowy lokal szkolny: sale wykładowe, pracownię, wzorownię, laboratorium, muzeum, oraz, jedyne w swoim rodzaju, pełne komplety urządzeń i specjalnych aparatów kosmetycznych, według ostatniej techniki i wskazań.

Urządzenia Kursów uważane są przez świat lekarski i specjalistów za wzorowe urządzenia w Polsce, a poziom nauczania za najwyższy i postępowy, oparty na 10-cio letnim doświadczeniu pedagogicznym.

Szczegółowe informacje udziela Sekretarjat „Pierwszych w Polsce Kursów Kosmetycznych” Dr. med. Marty Biernackiej i Dyr. Iny Kisielewskiej w Warszawie, Szopena 16.

Książka daje najprawdziwszy obraz życia. Chcesz poznać życie, walki, wzloty i upadki duchowe współczesnej młodzieży — przeczytaj

Z A B I A Ł A Ś C I A N A
WYDAWCA: Tow. J. KORCZAKOWSKIEJ
Wydawnicze „Bluszczy” Cena 1 zł. 20 gr.

Do nabycia w Tow. Wydaw. „BLUSZCZ”, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3 oraz we wszystkich księgarniach Konto P. K. O. 12.200.

Wychowanie fizyczne, i sport



Polskie zawodniczki trenują w Londynie przed zawodami.

(Fot. Keyston)

REWJA NAJLEPSZYCH

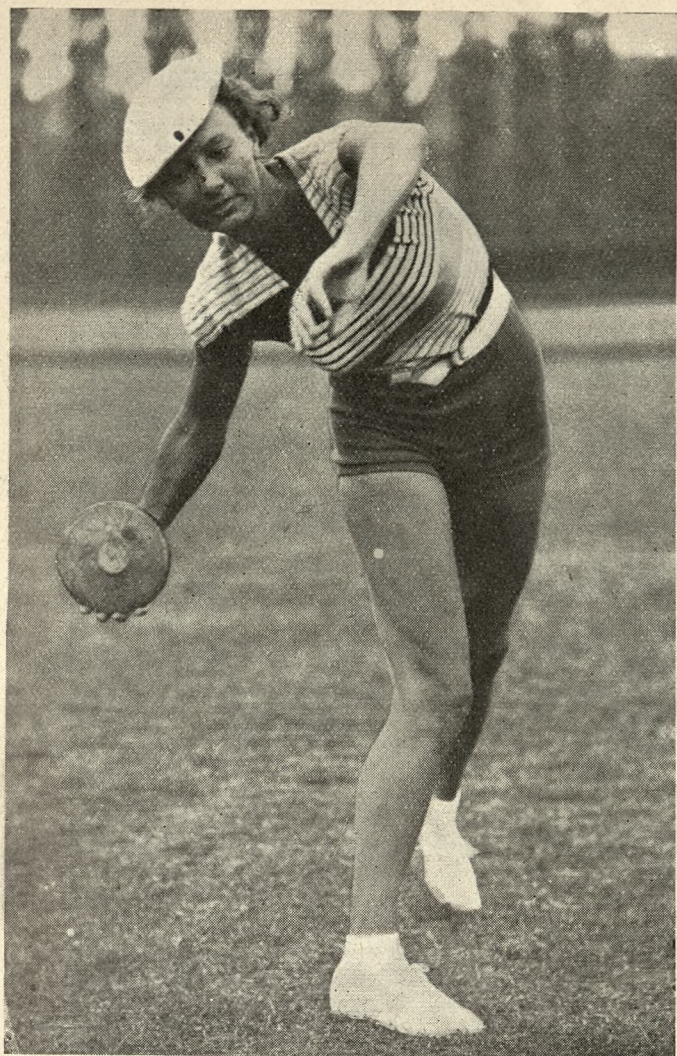
Przed paroma tygodniami odbyły się w Londynie wielkie światowe igrzyska sportowe kobiet. Zgromadziły one na stadjonie londyńskim najlepsze biegaczki, skoczkini i miotaczki świata. Zabrakło wprawdzie przedstawicielek Stanów Zjednoczonych, które zajmują czołowe miejsca wśród najlepszych na świecie lekkoatletek, jednak tym razem, wobec niezwykle wysokiej klasy zawodniczek innych państw, reprezentowanych w Londynie, brak Amerykanek nie zaważył na wynikach, i nie obniżył technicznego poziomu zawodów.

Igrzyska były więc pokazem najwybitniejszych sił, były terenem najpiękniejszej i najbardziej nasilonej walki sportowej, były rewją najwyższego poziomu sportowego i dlatego stanowiły materiał obserwacyjny wyjątkowo i pod każdym względem zarówno bogaty, jak ciekawy.

W zawodach startowały zawodniczki kilkunastu państw europejskich, a spoza Europy kanadyjki, japonki i południowe afrykanki. Wśród zespołów tych

wyróżniły się zespoły Niemiec i Polski i to nie tylko dlatego, że w klasyfikacji drużynowej, dokonanej na zasadzie punktów, zdobytych przez poszczególne zawodniczki, Niemki zajęły miejsce pierwsze, a Polki drugie, lecz i dlatego też, że oba te zespoły reprezentowały najzupełniej odmienne kierunki sportowego wychowania.

Reprezentacja Niemek, ogromnie wyrównana w klasie, bardzo liczna i znakomicie przygotowana, nie miała w swoim zespole słabych punktów. Wszystkie zawodniczki niemieckie, a było ich kilkanaście, zdobywały miejsca w finale i uzyskiwały dla swojej drużyny cenne punkty klasyfikacyjne. Zawodniczki te stanowią wprawdzie u siebie, w kraju, ekstraklasę, ale obok nich lekkoatletyka niemiecka rejestruje setki lekkoatletek doskonałych, posiada rezerwy liczne i dobrej klasy. Wspaniałe wyniki, osiągnięte przez niemieckie zawodniczki, rzeczywiście są wyrazem wysokiego poziomu nie kilkunastu zawodniczek, lecz silnie rozwiniętego sportu.



Matuszewska - Konopacka rzuca dyskiem. (fot. Keyston)

Wręcz odwrotnie jest u nas. Drugie miejsce, zdobyte przez Polki w Londynie, wywalczone wspaniale przed takimi potęgami sportu, jak Anglja czy Kanada, nie mówiąc już o Szwecji, Holandji, Francji, Włoszech i t. d., jest dziełem i zasługą jednostek. Zawodniczki nasze zdobyły w sumie 33 punkty, z tego prawie połowę wywalczyła Walasiewiczówna (16 pkt.), a Wajsówna dorobiła punktów dziewięć. Pozostałe 8 punktów były dorobkiem Cejzikowej i Kwaśniewskiej. Nic nie zrobiły Świdzka i Freiwaldówna.

Gdyby ktoś chciał sądzić i oceniać poziom naszej lekkoatletyki według wyniku londyńskiego, popełniłby ciężki błąd. Cały ten sport w Polsce opiera się na jednostkach. Wszystkie nasze sukcesy międzynarodowe opieramy na Walasiewiczównie i Wajsównie. Za nimi notujemy jeszcze parę nazwisk o poziomie średnio - europejskim. A dalej nie mamy już prawie nic. „Masy sportowe” kobiet nie dadzą się ująć w setki ćwiczących zawodniczo, bez względu na poziom.

Sukces Polski na zawodach londyńskich jest więc sukcesem jednostek, podczas kiedy sukces Niemek jest niewątpliwie zwycięstwem poziomu i dorobku gromady. Można z tego twierdzenia wyprowadzić wiele ciekawych wniosków natury ogólnej, nie tylko sportowej.

Niemki były w Londynie bezkonkurencyjne. Na dwanaście rozegranych konkurencji zajęły one pierwsze miejsca w dziewięciu. Z pozostałych trzech pierwszych miejsc, dwa zdobyły Polki (Walasiewiczówna i Wajsówna), jedno Czeszka, Koubkova. Najlicniejsza w igrzyskach drużyna angielska nie zdołała zająć ani jednego pierwszego miejsca.

Bohaterką igrzysk była, mimo pewnych niepowodzeń, Stanisława Walasiewiczówna. Dwukrotnie pokonana przez Niemkę, Krauss, nie przestała być przecież mimo to uważana za najlepszą na świecie biegaczkę. Coprawda, były to porażki przypadkowe. Polka startowała w Londynie po dwumiesięcznej przerwie w treningu, spowodowanej leczeniem nadwyrężonej nogi. Poza to w biegu na 200 mtr. fotografia Walasiewiczówny i Krauss, jednocześnie rwących taśmę na mecie, wykazuje raczej minimalną przewagę Polki, chociaż sędziowie przyznali zwycięstwo Niemce. Wreszcie, w kilka dni później Walasiewiczówna uzyskała w Brukseli i w Poznaniu na meczu Japonja — Polska wyniki znacznie lepsze od londyńskich, a w parę tygodni potem ustanowiła już w Warszawie nowy rekord świata na 100 mtr., dzięki temu wspaniale rehabilitując swą porażkę.

Igrzyska londyńskie były pięknym widowiskiem sportowym i pokazem wspaniałej, zaciętej walki. Wykazały one, że najlepsze zawodniczki świata posiadają instynkt bojowy, ambicję zwycięstwa i wolę wytrwania, całkowicie dorównujące męskiemu światu zawodniczemu.

Wśród czołowych zawodniczek świata przeważa męski typ budowy, może nawet zbyt męski, rażąco męski. To nie znaczy wcale, że sport maskulinizuje kobiety, ale jest to dowodem, że najlepsze wyniki osiągnąć może kobieta o budowie fizycznej, zbliżonej do typu męskiego. Lekarze sportowi dawno o tem wiedzą i motywują szczegółowo, dlaczego idealnie kobiecia budowa wyklucza znakomite wyniki.

W walkę sportową, która jest dla publiczności tylko widowiskiem, zawodniczki wkładają całą swoją pasję, całą namietność zwycięstwa. To nie jest walka tylko szybkich nóg, czy mocnych ramion. Walka sportowa, to także nasilona gra ambicji ludzkich, wysiłków moralnych, zmuszających do wydatkowania maksimum energii fizycznej choćby za cenę bólu. Czy ten wysiłek, niejednokrotnie przekraczający granice możliwości człowieka, opłaca się, czy usprawiedliwiają go rezultaty, czy rekord sportowy wart jest aż tyle, aby go osiągnąć kosztem straszliwego zmęczenia, niejednokrotnie kosztem zdrowia? — O tem myślą ci, którzy stoją po drugiej stronie boiska. Nie mają na to czasu zawodniczki, pochłonięte grą walki, zaabsorbowane jedynie zadaniem chwili: być pierwszą... Walka sportowa jest walką namietności ludzkich, jest taką samą grą, jak każda inna, pochłaniająca człowieka bez reszty, choć niczem nieusprawiedliwiona dla innych.

O rozmiarach tego wysiłku, jaki trzeba z siebie dać w walce o pierwszeństwo, mówią nam plastyczne i przekonujące twarze zawodniczek na mecie bie-

gów. Nie są te twarze ani uśmiechnięte, ani szczęśliwe, ani pogodne. Na mecie widzimy maski cierpienia.

Myszę, że widzów sportowych, przysięgłych zwolenników widowisk sportowych, zjeżdżających na wielkie zawody specjalnymi pociągami, fascynuje nie tylko doskonałość techniczna zawodników, nie tylko urok świetnych, atletycznych postaci, nie tylko gra umiejętności. Widowisko sportowe, ten najbardziej ludzki i rzeczywisty teatr, pociąga widza magnesem ukrytej gry ludzkich pasyj, ambicji i woli. Ta gra toczy się na marginesie walki wysiłków fizycznych. I w tę oto wojnę namiętności i ambicji widz sportowy wkłada własną swoją pasję, bierze w niej udział własną ambicją.

Napięcie wysiłku zawodnika, które tak chętnie obserwuje widz sportowy, zawsze głodny maksymalnej tego wysiłku granicy, objawia się na stadionie w sposób różny, zawsze ciekawy i zawsze trochę przejmujący. Przy skoku wzwyż, to napięcie przejawia się w formie niemal mistycznego znieruchomienia. Smukła, wysoka, elastyczna afrykanka, Clark, która skoczyła w Londynie 160 cm., zanim zaczęła rozbieg do skoku, zamieniła się przedtem w nieruchomy, stężała w napięciu posąg. To znieruchomienie posągu, w którym czuje się nie tylko skupienie energii fizycznej, lecz także akumulację sił psychicznych, jest prześliczne i wzruszające.

Miotaczki przymierzają starannie do ręki swój instrument sportowy, na którym za chwilę wygrają może rekord, a może tylko fałszywą nutę rzutu. I znowu, w tym akordzie wstępnym, w ruchach urywanych, przyczajonych, próbnych, zamachowych, dokonywanych, zanim rozpocznie się wściekły taniec rzutu, znów gra na nerwach widza moment skupienia, moment jakiegoś rozkołysania, wprawiania w ruch wielorakiej energii człowieka.

Biegaczki, skulone w swoich dołkach startowych, wychylają się tułowiami do wyrzutu ciała, wychyle niem tem włożone w przestrzeń przed sobą, jakby wprawione w niewidzialny jeszcze początek biegu. Kiedy wreszcie odbiciem nóg wetną się w masę przestrzeni, kiedy nogi w najszybszym kroku odpychają ziemię, a ramiona tną powietrze, jakby wyrabując ciału miejsce w przestrzeni, wtedy wydaje się, że cały stadion wibruje nagromadzoną energią, a energia ta udziela się widzom. Po trybunach lecą dreszcze sensacji, a widz oddycha z niemniejszym trudem, niż same biegaczki, dla których własne płuca stają się zbyt ciasne, własne serce niewystarczalne.

Na stadionie londyńskim widzieliśmy walkę sportową w najpiękniejszym stylu. Klasa zawodniczek była wysoka i wyrównana. Ażeby zwyciężyć w tak silnej konkurencji, trzeba było dać z siebie wszystko i więcej, niż można. Ofiarność zawodniczek była niezwykła. Walasiewiczówna po finale setki trzęsła się, jak w febrze. Znamy dobrze to nieznośne drżenie ciała, objaw śmiertelnego zmęczenia. A cóż dopiero mówić o małej Szwedce Writman, która po dramatycznej walce w biegu na osiemset metrów przyszła wprawdzie na drugim miejscu, ale tuż za metą padła, a potem długo ślaniała się na boisku, wciąż trzymając chusteczkę przy ustach, jakby z nich



Kurkowska - Spychajowa, mistrzyni świata w lucznictwie na zawodach lucnicznych w Sztokholmie. (Fot. Ryś).

za chwilę wylecieć miała fala krwi, której serce pomieścić nie mogło.

Kiedy patrzę na zawody sportowe i widzę straszliwe znużenie zawodniczek, myślę ze smutkiem, że sport zawodniczy przestał być radością, stał się dla aktorów sportowych obowiązkiem nad wyraz męczącym i ciężkim.

K. Muszałówna.

Kronika sportowa

Nasze lekkoatletki

Na doroczne zawody pań w Brukselli stawily się na trawiastej bieżni wszystkie gwiazdy Igrzysk londyńskich, z wyjątkiem Niemek. Dzięki temu polski team zajął pierwsze miejsce, wykazując formę lepszą, niż na Igrzyskach. Bohaterką zawodów była bezkonkurencyjna dyskobolka świata, Weisówna, która poprawiła rekord świata rzutem lepszym o pół metra od londyńskiego; Walasiewiczówna, która w Brukselli dopiero odzyskała swą szczytową formę, osiągnęła na 200 m. fenomenalny czas 24,6, a więc lepszy od swej pogromczyni Krauss z Igrzysk.

Podkreślić należy z uznaniem wynik Freiwaldówny, w biegu na 80 m. z płotkami, gdzie zajmuje ona drugie miejsce, temsamem kwalifikując się do klasy światowej. Na 800 m. znowu zawiódła Świdowska, którą naprzekór doskonałym wynikiem eliminacyjnym prześladowuje od wyjazdu do Londynu złośliwy pech.

W kuli Weissówna i Cejzikowa znalazły się na trzecim i czwartym miejscu. Zato w rzucie oszczepem coraz potężniej błyszczy talent Kwaśniewskiej. Jest ona bliska przekroczenia fenomenalnej odległości 40 m. a jej męski, niezrównany styl



Weissówna w rzucie dyskiem.

(fot. Ryś).

to już stanowczo europejska ekstraklasa.

Sztafeta mimo finiszu Walasiewiczówny przepadła dzięki Świderskiej. W rezultacie jednak występ brukselski był triumfem naszej drużyny, która cieszyła się ogromnym zainteresowaniem publiczności.

Po zawodach panie nasze zjechały do Poznania, na II spotkanie z Japonkami, wygrane przez Polki w wysokim stosunku 62 : 37. Żółtołone lekkoatletki oddały nam wszystkie pierwsze miejsca za wyjątkiem skoku w dal. Zdaje się, że skoki w ogóle nie są mocną stroną naszych pań. Zato w rzutach znowu Polki były górą. Z ręki Weissówny padł nowy rekord polski w kuli 12,09, zaś rekord nowy w oszczepie postawiła coraz to lepsza Kwasińska. Czołową zawodniczką drużyny Japońskiej, naogół przedstawiającą się blado, jest Watanabe. Do kraju wschodzącego słońca uwożą one po klęskach europejskich naszą znakomitą Stelle, której spotkanie z holenderką Schurman i rewanż z Krauss zostały odwołane pod pretekstem niedyspozycji zawodniczek, a właściwie z obawy, że Walasiewiczówna w obecnej formie pobije na głowę obydwie swe pogromczynie.

Jeśli mówimy już o naszej drużynie lekkoatletycznej, niepodobna nie podkreślić wielkich zasług znakomitego trenera CIWF-u p. Cejzika, który z wielkim talentem i nakładem pracy przygotował

team pań na Igrzyska i utorował im drogę do sukcesów. Tak więc miesiąc sierpień okazał się pomyślny dla kobiecej lekkiej atletyki naszej, która wreszcie odzyskała należną sobie popularność u publiczności.

Migawki pływackie

Na wszystkich boiskach i stadionach sport zbiera doroczne żniwo pracy i talentów młodzieży. Jedną z najszerzej zakrojonych i najciekawszych imprez były znakomicie obsadzone mistrzostwa pływackie Europy, zaś zakończone zwycięstwem Niemiec przed Węgrami. Puchar pań zdobyła Holandia, drugie miejsce zajęły świetne niemki. Rewelacją zawodów była młodziutka zwyciężczyni holenderka Ten Ouden, osiagająca czasy Bocheńskiego. Polska wysłała czterech czołowych zawodników, którzy w sztafecie ponieśli porażkę; w biegach indywidualnych Bocheński wywalczył sobie szóste miejsce. Naogół panowie nasi byli w wyjątkowo złej formie i mogli, gdyby nie brak rutyny zawodniczej w spotkaniach międzynarodowych, zająć lepsze miejsca, jak to wykazały wyniki ich na mistrzostwach Polski.

Rewja sił krajowych niestety wykazała, że stoimy na martwym punkcie. Mier-na forma Bocheńskiego i Karliczka, mierne wyniki pań nie pozwalają nam roić nadziei na jakieś międzynarodowe sukcesy

w bliskiej przyszłości. Pocieszającym objawem zato jest ukazanie się na horyzoncie kilku młodziutkich gwiazdeczek sportu wodnego: Kandłówna i Pastorówna zapowiadają się na pierwszorzędne siły pływackie, a mały 15-letni Jędrzyk objawił w skokach z wieży i trampoliny niezwykle talent i od razu podbił serca publiczności. Oczywiście Bocheński przoduje nadal naszym pływakom, a Morawska utrzymała swój tytuł mistrzyni Polski, zdobywając aż trzy pierwsze miejsca.

Z białego sportu

Na terenie spotkań międzynarodowych los wyjątkowo zaopiekował się polskim tenisem. Poraz pierwszy od dziesięciu lat udało się Polsce wejść do finałowych rozgrywek o Puchar Davisa. Stało się to dzięki znakomitej formie naszych asów i dzięki szczęśliwemu losowaniu. Na Belgji Polska wzięła piękny rewanż za porażkę z przed pięciu lat, ze słabą Estonją rozprawiła się gładko i w trzeciej rundzie wpadała na Austrię. Ciężka ta przeprawa ominęła naszych graczy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wobec czego ostatnią rundę eliminacyjną Polacy rozegrali z Grecją na kortach Legji, bijąc czołowe rakiety greckie w wysokim stosunku 5 : 0. O świetnej formie naszych asów świadczy fakt, że nie oddali w tym spotkaniu ani jednego seta. Hebda wyrównał swą kapryśną formę, a Tłoczyński jest w obecnej chwili zupełnie rewelacyjny. Nowa kombinacja dublowa Tarłowski-Bratek wydaje się szczęśliwie dobrana temperamentem i zgraniem, a jeśli chodzi o samego Tarłowskiego, to talent jego wysuwa go na czoło naszych graczy. W każdym razie nie zawiódł dotąd ani razu pokładanych w nim nadziei na spotkaniach międzynarodowych. Nareszcie tenis polski doczekał się nowego asa, a wśród młodego pokolenia dojrzewają starannie hodowane talenty Gotschalka i młodszego Tłoczyńskiego. Ubogi nasz tenis kobiecy zasilił niezadługo trzynastoletnią, wschodzącą gwiazdą, Siodówną z Bydgoszczy. Ciekawe gry przyniosły międzynarodowe mistrzostwa Polski na kortach WLTK. W finałach Jędrzejowska, będąca w słabej obecnie formie, uległa Niemce, Horn, a Tłoczyński po fenomenalnej walce wygrał z Hebda.

I. P.

NATURALNE WODY MINERALNE

VICHY-ETAT

SKUTECZNE:

CELESTINS · w artretyzmie

GR. GRILLE · w chor. wątroby

HOPITAL · w chor. żołądka

ŻĄDAĆ WYŁĄCZNIE ZE ZNAKIEM



Kącik radiowy

ŚWIĘTO ZIEMI CHEŁMSKIEJ W RADJO

Ziemia chełmska owiana bohaterską walką o zachowanie wiary, obchodzić będzie dnia 8 września swe uroczyste święto. Polskie Radio transmitować będzie z chełmszczyzny uroczyste **Nieszpory** w sobotę dnia 7 września o godz. 17,00 bezpośrednio po audycji ks. Rękasa dla chorych ze Lwowa.

W niedzielę, dnia 8 września o godz. 11.00 rozpocznie się transmisja uroczystej Sumy z okazji rozpoczęcia Kongresu Eucharystycznego w Katedrze w Chełmie. Kazanie wygłosi J. E. Ks. Biskup Marjan Fulman.

Radjowa poradnia sportowa

Po całym szeregu przygotowań organizacyjnych Polskie Radio tworzy nowy typ audycji sportowej, będącej właściwie swego rodzaju poradnią sportową, dla wszystkich dostępną. Słuchacze radjowi będą mogli, przy pomocy tej poradni, informować się o wszystkich problemach z dziedziny sportu i wychowania fizycznego, znajdując nie tylko wyczerpujące odpowiedzi na swe pytania, ale również szereg fachowych wskazówek i rad. Odpowiedzi na zapytania listowne, skierowane do Poradni Sportowej Polskiego Radja, Warszawa, ul. Zielna Nr. 25, będą udzielane przez mikrofon wtedy tylko, gdy pytania

te będą dotyczyć spraw ogólnych. Poradnia Sportowa będzie słyszana przez radio raz na tydzień w środę o godz. 17.50. Na wszelkie pytanie dotyczące indywidualnych zainteresowań jednej tylko osoby lub małej grupy osób, kierownik Poradni Sportowej Polskiego Radja red. J. Włodarkiewicz będzie odpowiadał w drodze korespondencji. Radjosłuchacze warszawscy mogą ponadto korzystać z Poradni Sportowej osobiście, lub telefonicznie w godzinach od 9.00 do 20.00 (tel. Nr. 6-77-30).

Nowa audycja Polskiego Radja zwiększa nie tylko ilościowo szereg audycji sportowych, które Polskie Radio nadaje z myślą szerzenia wśród radjasłuchaczy idei sportu i wychowania fizycznego, ale również staje się nieocenioną pomocą dla tych radjosłuchaczy, którzy chcieliby uprawiać jakąś gałąź sportu, nie mają jednak w miejscu swego zamieszkania nikogo, kto by im mógł udzielić fachowych wskazówek.

Specjalny Koncert Chopinowski nadaje radio bezpośrednio do Anglii

Znana jest rola radja w szerzeniu muzycznej kultury polskiej zagranicą. Do całego szeregu wielkich sukcesów w tej dziedzinie, dochodzi teraz fakt zorganizowania specjalnego koncertu chopinowskiego dla słuchaczy angielskich, który odbędzie się dnia 6 września o godz. 20.30. Koncert ten będzie o tyle oryginalny, że chociaż nadawany będzie ze studia Polskiego Radja w Warszawie przy ul. Zielnej 25, nie będzie mógł być słuchany przez

polskich radjosłuchaczy. Koncert ten bowiem bezpośrednio drogą kablową nadany zostanie do Anglii. Ci więc z polskich słuchaczy, którzyby chcieli odbierać ten koncert muszą przełączyć swe aparaty na stację londyńską. W koncercie weźmie udział Wiktor Łabuński.

Koncert ten nadaje Polskie Radio dlatego bezpośrednio do Anglii, że słuchacze polscy korzystają każdego tygodnia z koncertów chopinowskich, nadawanych w środę od godz. 21.00 do godz. 21.30.

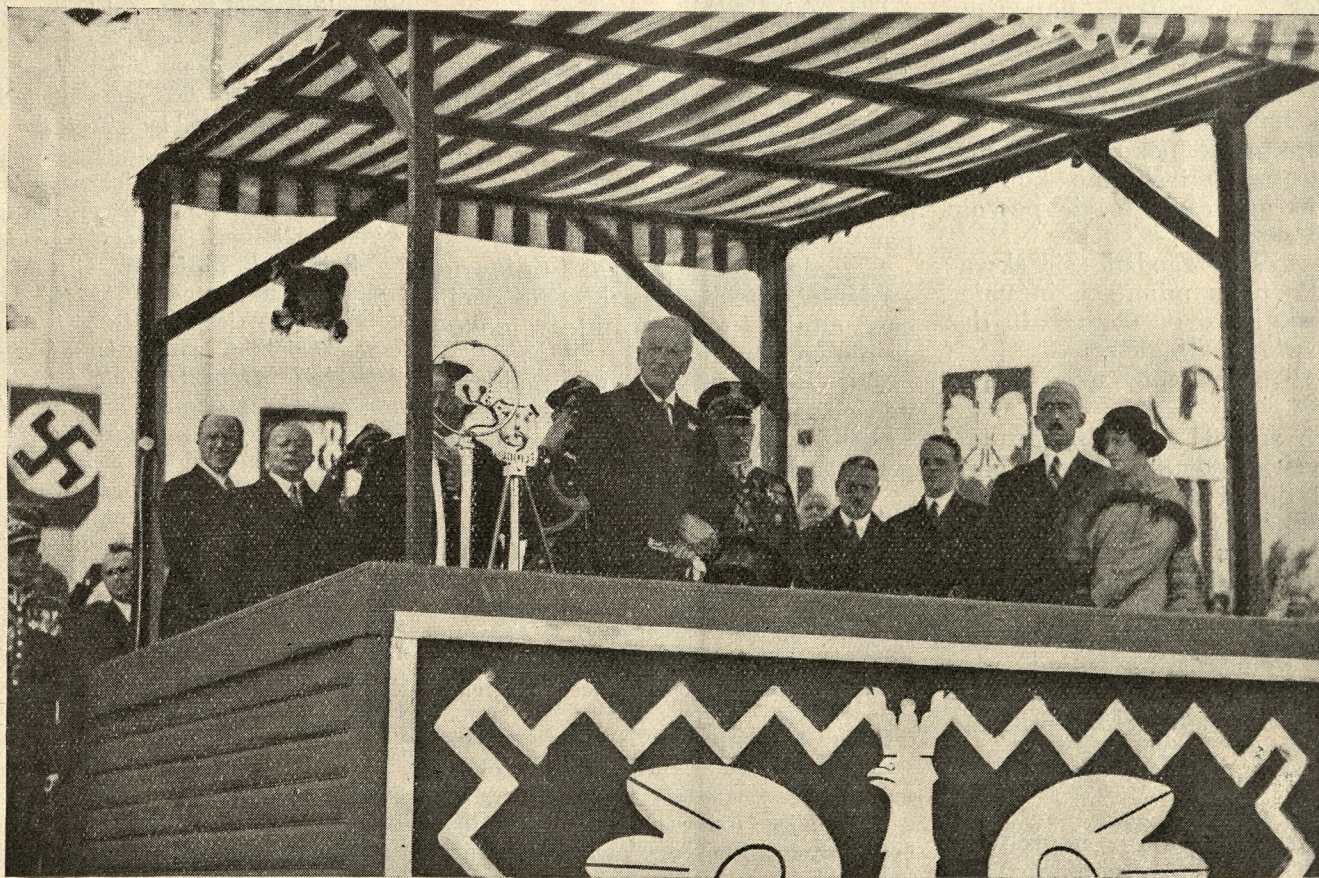
Rozstrzygające chwile

Zbliża się najważniejszy moment 30-ej Loterii Państwowej, gdyż 4-go b. m. rozpoczęło się ciągnięcie, które zadecyduje, komu przypadną wielkie wygrane IV-ej klasy.

Los miliona złotych rozstrzygnie się w ostatnim dniu ciągnięcia, 21 b. m., natomiast w ciągu najbliższych dwu tygodni wylosowywane będą inne wygrane, wśród których czołowe miejsca zajmują sumy: 250.000, 150.000 i 100.000 zł.

Niemniej pięknie prezentuje się przyszłość, dzięki dogodnym dla graczy zmianom, wprowadzonym do planu 31-ej Loterii.

Wobec ogromnego zainteresowania tą Loterią, należy spieszyć się z nabywaniem losów, by ich nie zabrakło.



Otwarcie Challenge'u. Loża Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Po lewej stronie mikrofon.

ROMANTYCZNA PRZYGODA

Godzina jest za wczesna na to, aby iść spać, a zapóźna, aby ktośkolwiek przyszedł w odwiedziny, oprócz codziennej troski. Samotna kobieta siada w fotelu, zakłada słuchawki na uszy, do ręki bierze robotę. Zmęczona, słucha radja i oto powoli twarz jej się wygładza, policzki nabiegają krwią, spod zmęczonych powiek źrenice sypią nagle iskrami, blade usta rozchylają się w uśmiechu.

Panna Celina słucha ulubionej melodji. Tam, w dalekiem studjo ktoś gra nokturn Chopina, ten sam nokturn, który ona grała kiedyś, kiedy miała lat 20, własny fortepian i życie pełne nadziei przed sobą. Dziś ma lat 40, posadkę, która zapewnia jej skromny byt i... żadnych widoków.

Właśnie wróciła do domu z pracy: według programu radiowego, układa plan wieczoru. Podczas muzyki z płyt drzemka, przy odczycie robota ręczna, przy muzyce lekkiej gazetka, potem słuchanie poważniejszego koncertu, a przy komunikatach najczęściej herbatka. Po hejnale i po Hymnie Narodowym zdejmowała słuchawki i zasypiała pogodnie, jak dziecko, ukolysane melodią.

Ale któregoś wieczoru coś się zepsuło. Napróżno kręciła wszystkie mi śrubkami, stukała nerwowo o kryształek, wszystko napróżno. Wreszcie zwierzyła się ze swej biedy starej służącej, Katarzynie.

— Ee, co się tam pani będzie martwić, ten nasz bezrobotny inżynier, co to odnajduje pokój na końcu korytarza, tak mi ślicznie kontakt w kuchni naprawił, to się pewnie i na tem pozna.

Panna Celina zgodziła się skwapliwie. Po paru minutach inżynier był w pokoju, a po obejrzeniu detefonu postawił djagnozę:

— Coś się zepsuło w uziemieniu.

Szybko znalazł uszkodzenie, połączył zerwane druty, a kiedy panna Celina nałożyła słuchawki, usłyszała wyraźniej niż przedtem tony strausowskiego walca. Z radości zapomniała podziękować sąsiadowi za przysługę, a gdy przyszło jej to na myśl, pana inżyniera już w pokoju nie było. Zanim jednak zdążyła sobie uprzytomnić własne roz-targnienie, usłyszała lekkie pukanie do drzwi, w których stanął inżynier, trzymając w ręku drugą parę słuchawek.

— Sam się zgłaszam po nagrodę — rzekł weselo. — Czy pani pozwoli mi posłuchać koncertu? Dawno nie słyszałem dobrej muzyki.

Pannie Celinie zabiło serce. Podsunęła gościowi krzesło, sama zajęła zwykle swoje miejsce w fotelu. W milczeniu słuchali audycji. Podczas przerwy inżynier zdjął słuchawki i patrząc pannie Celinie głęboko w oczy rzekł zicha:

— Pani musi bardzo kochać muzykę... twarz pani promienieje, kiedy pani słucha Chopina.

Pannę Celinę coś ścisnęło za gardło. Tak dawno nikt nie interesował się jej wyglądem.

O zwykłej godzinie zajrzała dyskretnie Katarzyna, żeby zapytać, czy można podać herbatę. Zobaczywszy zasłuchaną parę, otworzyła szeroko oczy i usta, potem machnęła ręką i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Po chwili z porozumiewawczą miną tryumfalnie wniosła na tacy większy, niż zwykle imbryk i dwie filiżanki. Wobec faktu dokonanego panna Celina nie mogła się cofnąć. Przy herbacie rozmawiali. Wieczór minął niepostrzeżenie, a gdy przebrzmiał hejnał i speaker wypowiedział sakramentalne: „dobranoc państwu“, inżynier wstał i pożegnał pannę Celinę słowami:

— Dziękuję pani za ten prze-miły wieczór.

A potem, jakby z wahaniem:

— Czy mam zabrać słuchawki, czy też pozwoli mi pani przyjść jutro? W pani towarzystwie tak dobrze słucha się muzyki.

Panna Celina wybaknęła kilka uprzejmych słów, czerwieniąc się, jak pensjonarka.

— Zachowuję się jak ostatnia geś — pomyślała z rozpaczą.

Po wyjściu gościa, panna Celina przycisnęła ręce do rozpalonych policzków. — Mój Boże.. czy to prawda? Czy w oczach jej się dwoi: dwie filiżanki na tacy, dwie pary słuchawek na stoliku.

Chciało jej się skakać i śpiewać z radości, chciało jej się kogoś uściśnąć, utulić i całować. Ale w pokoju nie było nikogo.

Jak zahypnotyzowana podeszła do ściany i na czarnym chłodnym i gładkim policzku detefonu złożyła gorący pocałunek.

Z ubiegłego tygodnia

Szary człowiek chodzi z zadartą głową! — A jednak sprawy przyziemne! — Francja wraca do „mody przedwojennej“. — Pakt wschodni.—Czekamy na Ligowe rozgrywki!

Gdyby ktoś zapytał dziś „szarego“ człowieka w Polsce, co go najbardziej w obecnej chwili „obchodzi“ (oczywiście poza sprawami jego bytowania) odpowiedziałby bez namysłu: „challenge“, względnie „turniej lotniczy“. Szary człowiek daje się unosić ambicjom bardzo szlachetnym, a jego poczucie wspólnoty ma duże podobieństwo

do hazardowych namiętności, skoro można bezpośrednio przeżywać emocjonujące momenty „zawodów“. Dzieje się to dlatego, że „zawody“ są nie tylko egzaminem wysiłków, ale jednocześnie są czymś jeszcze świetniejszym, bo rycerską brawurą.

Toteż, sumując wydarzenia z ubiegłego tygodnia, musimy uwzględnić ten nastrój tak bardzo odmienny i tak bardzo obcy właśnie wydarzeniom. Tymczasem sprawy, nabrzmiałe „decyzjami“, odbywają się w rejonach przyziemnych. Swary mają brzmienie pospolite. Ich źródłem są insynuacje, ich efekty wywołują gwar klótni. Drukowane słowo stroi się w grymas nieprzyjemny i złośliwy. O cóż bowiem idzie? O „wymoszczenie“ tak zwanej sytuacji. Do tego potrzebna jest słoma i plewy. Francja nie żałuje sobie tej podściółki do sojuszu z Sowietami..

Powiem wyraźniej. Polityka rusofilska Quai d'Orsay musi sobie stworzyć pewne pozory. Stąd wersje o tajnych układach Polski z Niemcami, stąd sugerowanie nowych niebezpieczeństw dla polityki europejskiej.. Francja nie ma zresztą czystego sumienia wobec Polski, a wiedząc o tem, szuka usprawiedliwienia dla siebie, pomawiając swojego sojusznika o skrytą kontrakcję. Francja, która w kotłującej się wojennej Europie nie potrafiła utrzymać swojej linii i popadała w rozbieżności z sojusznikami z czasu wojny, wraca do powojennych koncepcyj. W zmienionych warunkach pragnie powrotu do przeważni z Rosją, dziś sowiecką, ale może dla gospodarczych i politycznych planów Francji tak samo odpowiednią, jak Rosja carska.

Zwabić Sowiety do Ligi Narodów, protegować ją w międzynarodowym koncercie politycznym — oto cel kampanji francuskiej. Wraca „moda“ sprzed wojny, wówczas lansowana przez kapitalistów francuskich, dziś tak samo uśmiechająca się rentjerom parwskim. To jedno, a druga strona tego medalu, to przeciwwaga polityczna, to bezustanny lęk przed osamotnieniem, które nieraz już groziło Francji wśród rozlicznych projektów paktowych.

Było tych projektów niemało. Przypomnę tu choćby „pakt czterech“, kompromitujący brakiem możliwości realizacji. Teraz z wielkim szumem lansuje się „pakt wschodni“. Ogłosiła projekt tego paktu prasa włoska, a za nią prasa całego świata. Nie będziemy go tu powtarzać. Kto ciekawy, znajdzie go w prasie codziennej z dnia 31 sierpnia b. r. Pakt brzmi zachęcająco i laik nie będzie mu miał nic do zarzucenia, skoro tendencją paktu jest uniknięcie wojny, obrona przed napastnikiem i t. d. Pakt, którego projektem objęte są: Polska, Rosja sowiecka, Niemcy, Litwa, Finlandja, Łotwa, Estonja i Czechosłowacja stworzyłby w Europie Wschodniej sytuację wzajemnego krępowania się, bez rozstrzygania istniejących konfliktów.

Zagadnienie to będzie jeszcze długo tematem dyskusyj politycznych, zaczem wrócimy jeszcze do tego na tem miejscu. Rozpoczynająca się 10 września sesja Ligi pewne wyjaśnienia.

Narodów da nam również i w tej materji

H. K.

MARJA Z BILLEWICZÓW PIŁSUDSKA

W „Strzelczynie“ i w „Ekspressie Porannym“ znajdujemy sylwetkę „Marji z Billewiczów Piłsudskiej“ pióra Stefana Pomarańskiego z powodu pięćdziesiątej rocznicy jej zgonu.

„Niedarmo Mickiewicz zwraca się do Matki-Polki, składając w jej serce troskę o przyszłość młodych pokoleń, które miały wrócić Ojczyźnie Niepodległość. Bowiem Matki-Polki w epoce porozbiorowej w serca i umysły swych synów wpajały idee walki o Niepodległość.

Taką była Marja z Billewiczów Piłsudska. „Matka, nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc właściwy nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem Ojczyzny“, pisał Józef Piłsudski. Były to długie, tajemne szeptem prowadzone rozmowy, z serca wprost w duszę wpadające słowa matczyne, o których wspomina w swym dzienniczku uczniowskim starszy syn — Bronisław*): „Miałem dziś długą rozmowę z matką...“.

Młodzi Piłsudscy zaznajamiali się od najwcześniejszego dzieciństwa z zakazanymi przez najeźdźców utworami wieszczów narodowych, uczyli się zabronionej wówczas historii własnego narodu. Matka wszakże, rozbudzając w dzieciach umiłowanie do przeszłości i do literatury rodzimych, nie narzucała im swych poglądów. „Matka z naszych wieszczów najbardziej lubiła Krasińskiego — wspomina J. Piłsudski, — mnie zaś od dzieciństwa zawsze zachwycał Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych“.

Marja Piłsudska wpływała na urobienie i utrwalenie zasad i poglądów swych dzieci przez częste dyskusje, przez utrzymywanie z nimi rozmów na wysokim poziomie ich zainteresowań umysłowych. Poglądy te — jak pisał Józef Piłsudski — „były... naturalnie u dziecka bardzo niejasne i mgliste, lecz przy moim żywym, nieco przekornym charakterze, utrwały się przy każdym sporze, które niekiedy matka żartem prowadziła“. Marja Piłsudska za najważniejsze zadanie swe matki-wychowawczyni dzieci uważała właśnie wyrobienie w nich samodzielności przekonania: „...od najwcześniejszych lat starała się rozwijać w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim (Józefa Piłsudskiego) umyśle formowało się w sposób następujący: „Tylko ten wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonania i potrafi je, bez względu na skutki, wyznawać czynem“.

Choć wcześniej osierociła dzieci**), obraz tej „Matki - nieprzejednanej patriotki“ zawsze pozostał w duszy Jej wielkiego Syna. Portrecik Matki z czasów, gdy była

młoda niewiasta, przeżywającą tragedję 1863 roku, wisi w pokoju Marszałka, a duch Jej towarzyszy Mu w ciężkich chwilach życia, w momentach wysiłku twórczego. „Gdy jestem w rozterce ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy wokół podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogię moim zamiarom, wtedy pytam się samego siebie, jakby matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic...“

Marszałek, mówiąc o Niej, wyraża się zawsze „kochana mateczka“ lub „kochana mamusia“...

Dziś grób Matki Józefa Piłsudskiego dzieli od Syna granicę. Warunki tak się złożyły, że odwieczne bratnie narody dzieli przepaść nieporozumień, które tylko wzajemne przebaczenie i pojednanie zdołałyby usunąć. Za rektorem Uniwersytetu Stefana Bałłęgo w Wilnie, b. ministrem prof. Staniewiczem***), „życzymy Ci, Panie Marszałku, byś w słonecznej jesieni wielkiego życia mógł stanąć w pobliskich Sugintach, nad cichym grobem Tej, która w sercu Twym wzniciła tęsknotę ku wolności i której modły i miłość z niebios wiodły Cię ku Twym wielkim przeznaczeniom, byś w cichym holdzie mógł złożyć swej ukochanej Matce wieniec z wawrzynów i cierni, którym skroń Twą wieńczyła historja“.

*) Urodzony w 1866 r. w Zułowie, zmarł w 1918 r. w Paryżu. Był zesłańcem politycznym na Syberję, potem znakomitym podróżnikiem i etnografem.

**) Zmarła 1 września (st. st. 20 sierpnia) 1884 r.

***) Z przemówienia na akademji 19.III 1934 r.

Spowiedź 13-letniego chłopca

Pod tym tytułem zamieszcza „Kurjer Poranny“ reportaż R. R. z życiorysów dzieci opuszczonych, umieszczonych w sierocińcach. Podajemy z niego wymowny ustęp:

„Mam przed sobą paczkę życiorysów dzieci, umieszczonych w zakładzie. Małe, brzydkie kartki, zapelnione koszlawami literami; niektóre słowa trudno jest odcyfrować, tak nieprawdopodobna jest tu ortografia. Treść, naogół, bardzo uboga i dopiero przeczytanie kilkudziesięciu takich kartek daje pewną całość i rzuca światło na istotne przyczyny opuszczenia dziecka, dając obraz powolnego rozkładu rodziny, spowodowanego właśnie upiorami powojennymi.

Rodzina S. — dzieci w zakładzie czworo. Najstarszy chłopiec, lat 13, pisze (ortografia poprawiona):

„Mielśmy mamusię i tatusia, było nam dobrze. Nie łaknęliśmy nic. Mielśmy co

jeść, chodziliśmy ładnie ubrane. W roku 1928 zachorowała nam mama. Zawieźliśmy mamusię do szpitala. Leżała mama 5 tygodni i wyszła. Było mamie znacznie lepiej. Chorowała mama na płuca. Ale tego wystarczyło. Musiała mamusia pracować przy nas i przy tatusiu. Tatuś był szewcem, to mama musiała pracować, np. szyc buty i inne jeszcze rzeczy robić, tak, że zachorowała znów. W 1931 roku znów mama zapadła w ciężką chorobę. Zawieźliśmy mamę do szpitala, tak, że mamusia leżała 7 miesięcy. Zaczęło się źle dziać. Tatuś był bez pracy. Później mamusia 2 dni przed śmiercią przyjechała do domu. Mamusia umarła o 2-ej w nocy. Ja byłem przy skonaniu. Potem było coraz gorzej. Przestałem chodzić do szkoły. Zadłużyliśmy się w komornem. Byliśmy winni za 12 miesięcy i dostaliśmy eksmisję. Nie mieliśmy gdzie spać, tak, że 3 dni na dworzu mieszkaliśmy. Z drugiego podwórka jedna pani nas wzięła na noc do mieszkania. I tatuś uciekł od nas, nie wiadomo gdzie.

Mam babcię, która jest w obowiązku, ciężko pracuje. Zarabia 10 zł. miesięcznie. Mam ciotkę, co po prośbie chodzi. Oprócz nich, rodziny nie mam. Życie moje teraz marne“.

Oto autentyczna historia dziecka opuszczonego — dosłownie podana. Oto losy jednej z tysięcy rodzin rozbitych. Wszędzie ten sam przebieg, te same przyczyny.

Jest dobrze, jest praca, jedzenie, ubranie, zdrowie. Nie natyle jednak dobrze, by nie znalazła sobie drogi gruźlica.

Wkradła się. Atakuje matkę — podporą moralną rodziny. Szpital — walka pozornie wygrana. Do pomocy gruźlicy przychodzi konieczność ciężkiej pracy, bo zarobki męża coraz marniejsze. Matka, oprócz pracy przy dzieciach, pomaga mężowi w szyciu butów. Nowy atak gruźlicy, tym razem zwycięski, i nowy upiór: bezrobocie.

Coraz gorzej dzieje się w rodzinie, coraz mniej pieniędzy, coraz mniej jedzenia i — coraz mniej miłości. Najstarszy chłopiec przestaje chodzić do szkoły — usiłuje zastąpić matkę. Pomoc niesie opieka społeczna, pod postacią obiadów. Rodzina trzyma się jeszcze jako tako przez 2 blisko lata. Głoduje, ale żyje razem, we wspólnym mieszkaniu. Cios nieodwołalny zbliża się jednak powoli, lecz pewnie. Mieszkanie nieopłacone. Gospodarz podaje do sądu. Prawo jest po stronie właściciela mieszkania. Sprawa przesądzona. Rodzina otrzymuje cios ostateczny: eksmisja. Już zabrakło wspólnej więzi, którą było dotychczas mieszkanie. Niema co jeść i niema gdzie mieszkać, i niema nadziei na jakąkolwiek poprawę. A wtedy ojciec porzuca rodzinę. Opuszczone dzieci umieszcza się w zakładach: małe gdzieś indziej i duże gdzieś indziej. Bracia w zakładach dla chłopców, siostry w zakładach dla dziewcząt. Rozkład rodziny dokonany.

Znikła, rozpadła się zdrowa ongi komórka społeczna: rodzina. Podcięła ją gruźlica, zabrało jej wszelkie soki żywotne bezrobocie, a zmiotło ostatecznie z powierzchni ziemi nieszczęście największe, upiór straszliwy, nieznanym prawie zupełnie pokoleniom przedwojennym: eksmisja.

W rodzinnej chacie Mussoliniego

„Ilustrowany Kurjer Codzienny“ w korespondencji p. t. „W rodzinnej chacie Mussoliniego“ podaje ciekawe szczegóły o środowisku, z którego wyszedł dyktator Włoch, a mianowicie o wiosce Predappio w okolicy Forli.

W centrum wioski, niedaleko hali targowej, w odległości kilkudziesięciu kroków od szosy, na małym wzgórku wznosi się kamienny półpiętrowy rodzinny domek Mussoliniego.

W niskim parterze pokazuje faszysta-przewodnik izbę. Tu był warsztat kowalski ojca Mussoliniego. Idziemy nowymi schodkami wyżej do sypialnego narożnego pokoju rodziców Benita, gdzie się dyktator Włoch urodził. W pokoju tym mieszczą się tylko 2 łóżka z siennikami, wyścielone mi zwyczajem włoskich chłopów nacią kurydzianą. Za tym pokojem znajduje się druga izba, gdzie Benito spał wraz z braćmi. Stary kuferek i stara szafa — oto całe umeblowanie pokoiku.

Naprzeciwno, po drugiej stronie sieni, znajdowała się kuchnia. Obecnie w tej izdebce mieści się księga pamiątkowa, do której wpisują się przybyli do Predappio turyści, oraz puszka, do której wrzuca się dobrowolną ofiarę na rzecz dzieci faszystowskich. W domku tym nikt nie mieszka. Custode, młody faszysta, mieszka na dole obok szosy i służy chętnie turystom wyjaśnieniami.

Po drugiej stronie szosy w oddali, na wysokim wzgórzu wznosi się potężny, jak średniowieczna twierdza włoska historyczny zamek, znany jako Rocca della Caminata, obecnie nazwany Castello del Duce.

Na żądanie faszystów zamek odnowiono, po królewsku urządzono i ofiarowano go przed dwoma laty na własność Mussolinemu. Przyjeżdża on czasem z rodziną do Predappio i zatrzymuje się w tym swoim dzisiejszym „Castello del Duce“.

Patrząc z góry, z okien tego zamku na rozrzucone na dole po obu stronach domki wieśniaków Predappio, widzi dyktator Włoch także swój rodzinny domek, dawniej warsztat kowalski swojego ojca, swoje rodzinne gniazdko, gdzie z rodzeństwem spędzał swą młodość.

U źródeł przestępczości

W „Kurjerze Porannym“ w art. p. t. „U źródeł przestępczości“, przytoczono szereg ciekawych danych o genezie przestępczości nieletnich

z pracy dr. Z. Rosenbluma i J. Neudingowej: „Nieletni przestępcy w świetle patamnezy 250 przypadków“ i ze „Sprawozdania Poradni Pedologicznej przy Patronacie w Warszawie“.

Gonitwa za zarobkiem, troska o byt przysłaniają wszystkie inne obowiązki i cele w ubogich rodzinach robotniczych. Dla dzieci niema czasu i nie starcza cierpliwości. Zmęczeni, zdenerwowani rodzice na każde przewinienie dziecka reagują biciem. Na 330 przypadków, jakie w ciągu półtora roku przewinęły się przez Poradnię, nie karano biciem tylko 5 dzieci. W proletariacie tkwi głębokie przekonanie, że bez bicia nie wychowa się dziecka na porządnego człowieka. Prawie nikt nie bije ręką. Najczęściej używa się pasa, często spotyka się gumę (gumowe koło z wózka dziecięcego, lub kawał opony samochodowej), pozatem używana jest „kozacka pyta“, laska, wałek, a nawet kółek od płotu.

Dziecko ubogie wyganiają na ulicę nie tylko fatalne warunki mieszkaniowe i zła atmosfera domowa. Wychodzi ono również na ulicę, aby zarabiać. W rodzinach bezrobotnych dziecko musi pomagać w utrzymywaniu rodziny. Sposób zarabkowania zależy od wieku dziecka i od materialnych możliwości rodziców: czy mają 2 złote na irysy lub czekoladki, czy też tylko kilkadziesiąt groszy na włoszczyznę lub tanie kwiaty. Nie każdy może zostać gazeciarszem, trzeba mieć odpowiedni wiek i 10 złotych na kaucję.

Młodsze dzieci sprzedają na ulicy cytryny, kwiaty, słodycze, jeszcze młodsze, nieraz 6-letnie, pomagają starszym w handlu ulicznym, najmłodsze zebrzą ze starzami lub są wynajmowane obcym do zebrania. Handlujące dzieci spędzają 8—9 godzin dziennie na ulicy. Dzieci te wiedzą, że im nie wolno handlować. Dorośli pouczają je o konieczności ukrywania się i wprowadzania w błąd policji.

Stojąc w gromadzie dorosłych handlarzy, dziecko widzi drobne ich oszustwa, uczy się, jak należy sprytnie podsuwać kupującemu nadpsuty towar, słucha opowiadań o śmiałych wyczynach złodziejskich i sprytnych oszustwach. Dzieci, wychodzące nocą na ulicę, zebrzące koło różnych lokali rozrywkowych, są narażone na wszystkie wpływy demoralizujące nocnego życia wielkomiejskiego.

Wśród dziewczynek, trudniących się handlem ulicznym, spotyka się bardzo wiele takich, które zaczynają uprawiać prostytucję, jako zajęcie bardziej intratne, i zostają prostytutkami.

* * *

Specjalną uwagę przy analizie czynników, sprzyjających wykolejeniu, poświęcają autorki zagadnieniu szkoły i roli, jaką odgrywają niektóre jej braki w życiu małoletnich przestępców. Dzieci wykazujące pewne cechy psychopatyczne, t. zw. trudne do prowadzenia, dzieci tępe, zacofane umysłowo wymagają specjalnego traktowania w szkołach specjalnych. Wadliwa selekcja dzieci w szkołach powszechnych powoduje,

że dzieci tego rodzaju, nie mogąc dać sobie rady z nauką w ramach zwykłej szkoły, przestają do niej uczęszczać, wagarują lub bywają usuwane ze szkoły. Usuwanie tych dzieci ze szkoły (po przekroczeniu 14-tu lat jest to reguła), oznacza nieraz przypiętowanie ostatecznego wykolejenia się dziecka. Sprzyja temu w dużej mierze wiek 14 lat (okres dojrzewania), represje w domu z powodu wyrzucenia ze szkoły, a przede wszystkim brak dostępu do terminowania, według litery prawa rzemieślnik nie może przyjąć terminatora przed skończonym 15-tym rokiem życia. Ten właśnie jeden rok, który dzieli szkołę od pracy, jest rokiem zgubnym dla dziecka, jako okres przymusowej bezczynności.

DZISIEJSZA FEMINISTKA FRANCUSKA

M-me Blanche Lescouvé, żona pierwszego prezesa Sądu Kasacyjnego, prezeska Związku Narodowego Kobiet, jest pięknym typem feministki XX wieku. Gorąca zwolenniczka i propagatorka aktywności kobiecej we wszystkich dziedzinach życia, kocha politykę, widzi w niej do spełnienia pewien obowiązek narodowy kobiet.

Odwiedzamy ją w jej mieszkaniu za pośrednictwem dziennikarki francuskiej Charlotte'y Robette.

Uderza nas estetyka wnętrza, niesłychany porządek i cisza.

— Organizacja kobieca, której przewodniczę, ma kierunek umiarkowanie republikańsko - narodowy.

Jesteśmy zdania, że w obecnych czasach wszelka neutralność jest słabością.

Mamy program całkowicie określony: żądamy prawa głosu dla kobiet, wyjaśniamy *jak i dlaczego*. Jesteśmy niezależne od wszystkich partij politycznych mężczyzn.

Pani Lescouvé mówi z całą stanowczością i pewnością siebie, z całym przekonaniem świadomej swych praw i obowiązków kobiety.

— Głównym argumentem przeciw prawu głosu jest: „one się nie interesują polityką!“ Ale dlaczego? Ta dziedzina była bowiem dla nich dotąd zakazanym owocem. Dziś, kobiety obejmują stanowiska mężczyzn, architektów, lekarzy, adwokatów... i nie mogą wybrać ławnika miejskiego!

Ale czasy się zmieniły: kobieta rozumiała, że tylko ona może bronić rodziny i dzieci.

Pragniemy ogólnej reformy, a to wymaga programu, wykształcenia i organizacji.

To jest naszym celem, celem naszego pisma „Le Devoir National“.

Pani Lescouvé powtarza z uporem i głębokim przekonaniem, budząc mimowolny szacunek:

— Kobieta musi interesować się

politycznym życiem narodu... i interesuje się nim. Na głuchej wsi nawet kobiety działają.

Odczyt, zorganizowany przez nas w Deux-Sèvres skupił liczne rzesze wiejskich feministek, które z uwagą i skupieniem śledziły wywody naszej prelegentki.

— Działalność Pani obejmuje więc całą Francję?

— O tak! Zorganizowałyśmy w ubiegłym roku przeszło 130 odczytów na prowincji. Moja sekretarka pracuje w tej chwili w Eure-en-Loire.

I, proszę mi wierzyć, nawet środowiska wiejskie gotowe są za nami podążyć. Kobiety wszystkich klas wstępują w nasze szeregi, pociągnięte samą już ideologią i programem. A nawet więcej. Przenikamy do kolonij oraz krajów, znajdujących się pod protektorem Francji.

Podczas niedawnej podróży do Marokka, zmuszoną byłam wygłosić odczyt na temat Związku Narodowego Kobiet. Udało mi się również zorganizować tam komitet, rozwijający się znakomicie.

Działalność tedy nasza ma dwa źródła: inicjatywę osobistą, ujawniającą się w podróżach do okręgów, listach i odczytach, oraz interpelacji miast prowincjonalnych, domagających się utworzenia komitetu.

Tegoroczny Kongres był naszym sukcesem. Bankiet uroczysty, pod przewodnictwem p. Fourcade, senatora Basses-Pyrénées, nie był bynajmniej zebraniem kobiet bez wdzięku, męskich i palących papierosy... wprost przeciwnie!

Być feministką, nie znaczy bowiem wyzbyć się wszelkiej kokieteryj i kobiecości.

— Czy jednak kobieta będzie bardziej szczęśliwa, zdobywając prawo głosu? Czyż przeznaczeniem jej nie jest ognisko rodzinne?

— Tak, ale my pragniemy jej dać możliwość obrony tego ogniska. Niewiele jest dziś kobiet, któreby potrafiły całkowicie zadowolić się życiem domowym. Te nawet, które nie pracują poza domem, biorą zazwyczaj udział w działalności swych mężów.

— Czy wszystkie kobiety, czynne w polityce, rozumieją się nawzajem?

— Bezwarunkowo. Dzisiajśza feministka pragnie być nieugiętą w swej ideologii, pod względem strategii jednak osiąga coraz większą gibkość i doświadczenie. Dąży do równowagi pomiędzy rozwojem umysłowym, a tem wszystkim, co stanowi niezaprzeczony czar kobiecości.

— Czy wśród nawału pracy ma Pani czas na lekturę?

— Ależ naturalnie! Czytam wiele, po większej części powieści autorów cudzoziemskich. Lubię rów-

nież książki historyczne. Chodzę czasem do kina, wolę jednak dobry koncert lub odczyt. Znam prawie wszystkie muzea Europy.

Kocham moją, pełną uroku, Touraine i nigdy nie nudzę się na wsi.

Życie jest dla mnie ciąglą szkołą, a żaden z jego przejawów nie jest mi obcy!

XXV lecie Polskiego Czerwonego Krzyża

W dniach od 1 do 10 września r. b. cała Polska obchodzi XV-lecie drogiej każdemu Instytucji wyższej użyteczności, jaką jest Polski Czerwony Krzyż.

Szczególnie więc w tym okresie wszyscy zdrowo myślący obywatele powinni żywiej zainteresować się działalnością Polskiego Czerwonego Krzyża, współdziałać w jego rozwoju i popierać sercem, pracą i groszem. Polski Czerwony Krzyż nie żąda wiele, nie prosi również o jałmużnę, pragnie tylko by każdy obywatel stał się jego członkiem i współpracownikiem. Minimalna, bo 25 groszowa miesięczna składka daje możliwość współpracy z Polskim Czerwonym Krzyżem i przyczynia się do jego należytego rozwoju. Wielkie jest bowiem pole pracy Polskiego Czerwonego Krzyża, tylko wciąż jeszcze pracowników mało! Kto będzie leczył rany twoje, twego syna i brata? Kto będzie ratował zatrutych gazami mieszkańców naszych wsi i miast?

POLSKI CZERWONY KRZYŻ!

Jaka Instytucja otacza sanitarną opieką ofiary epidemii, powodzi i wszelkich katastrof?

POLSKI CZERWONY KRZYŻ!

Jaka Instytucja jest najwymowniejszym czynnikiem zgody, solidarności i miłości bliźniego?

POLSKI CZERWONY KRZYŻ!

I JEGO KOŁA MŁODZIEŻY!

Rozważ te myśli, a przynasz, że obowiązkiem twoim jest popierać moralnie i materialnie

POLSKI CZERWONY KRZYŻ!

PIĘTNAŚCIE LAT SŁUŻBY DLA PAŃSTWA I SPOŁECZEŃSTWA

W roku 1919 utworzono Polski Czerwony Krzyż — były to pierwsze, najgorętsze dni samodzielnego bytu młodego Państwa Polskiego. Na wszystkich rubieżach Rzeczypospolitej płynęła krew polskiego żołnierza w walkach o granice zmartwychwstałej Ojczyzny, ziemia literalnie paliła się wtedy pod nogami; całe społeczeństwo zespoliło wysiłki dla stworzenia jednej wielkiej organizacji samarytańskiej na usługi swej bohaterskiej armji. Pracę Polskiego Czerwonego Krzyża należało stworzyć literalnie z niczego. Była to jedna z tych olśniewających polskich improwizacyj, która dzięki płomiennemu patriotyzmowi

ogółu, ofiarności i pracy jednostek wcieliła się w świetny czyn i stała się realną i trwałą pozycją w bilansie narodowego wysiłku o byt odrodzonego kraju.

Polski Czerwony Krzyż odrazu stanął na wysokości zadania: zorganizował w kraju na potrzeby wojska kilkadziesiąt placówek sanitarnych, oddał do dyspozycji armji przeszło 5 tysięcy siostr C. K., ogarnął kraj całą siecią Oddziałów, gdzie wrzała praca pod znakiem Czerwonego Krzyża. Wtedy zrozumienie dla PCK. było ogólne, ludność tłumnie śpieszyła do jego szeregów, zapisując się na członków, dając swą czynną współpracę i składając ofiary. Był to ten świetny, choć krótki, niestety, okres, kiedy PCK. liczył przeszło milion członków. Dzięki takiemu spontanicznemu poparciu całego społeczeństwa, PCK. mógł być podolac tej gigantycznej pracy i chlubić się swym pierwszym egzaminem wobec Narodu i Państwa. Jeśli się mówi o okresie „wojennym” PCK., nie można pominąć jego ścisłej współpracy z czynnikami państwowymi w zakresie pomocy dla jeńców wojennych i repatriantów. PCK. stworzył około 30 placówek sanitarno - odżywczych w miejscowościach nadgranicznych, gdzie tysiące uchodźców znajdowało wyżywienie i pomoc sanitarną i materialną.

Gdy minęła zawierucha wojenna i w Państwie zaczęły się powoli ustalać normalne warunki życia, PCK. w myśl wskazań Ligi Czerwonych Krzyży podjął w bardzo szerokim zakresie pracę pokojową. Praca pokojowa PCK. idzie w 3 zasadniczych kierunkach: przygotowanie instytucji do spełnienia zadań, oczekujących ją w czasie wojny, niesienia pomocy ludności cywilnej w wypadkach klęsk żywiołowych i epidemii oraz współdziałania z władzami państwowymi nad podniesieniem zdrowotności wśród społeczeństwa. Społeczna akcja sanitarna PCK. jest rozwinięta na ogromną skalę i obejmuje wszystkie odcinki higieny publicznej i kultury sanitarnej. PCK. prowadzi w kraju przeszło 120 różnego rodzaju instytucyj sanitarnych, w tem 6 szpitali, 3 sanatoria, 6 kolonij letnich, 2 szkoły pielęgniarstwa, dziesiątki przychodni, gabinetów naświetlań i poradni. W razie klęsk żywiołowych i epidemii PCK. staje zawsze pierwszy na posterunku i tak: w czasie epidemii tyfusu w 1927 r. w Małopolsce Wsch. — PCK. prowadził szeroką akcję zapobiegawczą: samych szczepień ochronnych udzielono ok. 35 tys., tysiące ludzi wykapano, setki domostw i studzien odkażono. Tę samą pracę podejmowano na Polesiu i Wołyniu oraz w samej Warszawie, na początku bież. roku, kiedy pojawił się tu tyfus plamisty. W akcji ratowniczej w czasie powodzi PCK. brał udział w roku 1924, 25, 28 w Warszawie, w r. 1931 w wielkiej klęsce na Wileńszczyźnie, a i podczas ostatniej powodzi mimo, że praca PCK. trwa jeszcze w całej pełni na popowodziowych terenach, stwierdzono, że w jednym tylko woje. Krakowskim udzielono dotychczas ok. 15 tys. porad lekarskich, rozdano przeszło 100 tys. sztuk odzieży i dokonano ok. 10 tys. szczepień przeciwepidemicznych. Tak się w najzwęższym skrócie przedstawia pokojowa akcja społeczna

PCK. A wszak równolegle iść muszą jego przygotowania na wypadek wojny. PCK prowadzi w całym kraju setki kursów sanitarnych o rozmaitym poziomie, formuje drużyny ratownicze przeciwgazowe, przygotowuje kadry siostr pog. san. i szkoli pielęgniarki dyplomowane. Przygotowanie materiału sanitarnego, sprzętu technicznego i wielu setek środków transportowych dla rannych i chorych idą w całej pełni. Składnice i magazyny PCK. gromadzą bieżące, środki opatrunkowe i zaopatrzenie materiałowe szpitali, punktów sanitarnych i t. p. Cała ta praca wymaga olbrzymich funduszy i niemniejszych wysiłków organizacyjnych i energii.

Dziś PCK. jest znany w całym kraju, ma rzesze oddanych i ofiarnych działaczy, kadry dzielnych pracowników, hufce młodych następców. Zdobył uznanie najwyższych czynników państwowych, sympatię współobywateli, szacunek bęych.

Dobrze zasłużył się Ojczyźnie!

NASZA MÓWNIKA

Jeszcze o ojcach

W jednym z czerwcowych numerów „Bluszczu“, pani J. Krawczyńska zastanawiała się nad wychowaniem przyszłych ojców. Wskazała, że należałoby uświadamiać młodzież męską o przyszłej jej roli w życiu rodzinnym. Uświadamiać? Ale jak? Trzeba bowiem włączyć się, poznać docna duszę dzisiejszego pokolenia mężczyzn, przyszłych ojców rodzin. Dzisiejszy mężczyzna woli żyć samotnie, jedynie dla zaspokojenia swych namiętności połączyć się na krótki czas z kobietą. Taniej to wychodzi, niema się kłopotów, jest się zupełnie niezależnym. Przy dzisiejszym, kryzysowym życiu, przy braku odpowiednich środków materialnych na zakładanie t. zw. ognisk domowych, mężczyzna wybiera drogę najłatwiejszą i zadawała się przygodnym stosunkiem.

Nawet ci, którzy pragnęliby związać się na zawsze z kobietą, również znajdują się w warunkach fatalnych. Finansowo niedostatecznie zaopatrzeni, żeniąc się, skazują siebie, żonę i ewentualne dzieci na nędzę i ciągle, wyczerpujące borykanie się z trudnościami materialnymi. Przy takim stanie gospodarczym, jaki jest obecnie, małżeństwo staje się wprost niemożliwe, dla niektórych i absurdalne. Jeżeli dwóch biedaków ma się połączyć, by wydać na świat potomstwo, również skazane na szukanie pieniędzy, to bezwarunkowo lepiej się stanie, gdy ludzie ci będą żyli oddzielnie. Małżeństwo koleżeńskie ma właśnie rozwiązać tę sprawę zasadniczo. Małżeństwo koleżeńskie nie jest bynajmniej „nową formą prostytucji“, jak sądzi pewien odłam społeczeństwa, lecz jest to raczej przeciwdziałanie prostytucji. Jeżeli dwoje ludzi pragnie trwale połączyć się, ale, nie mając po tem udogodnień warunków materialnych, żyje z sobą w małżeństwie koleżeńskim, które posiada pewne prawa i ograniczenia, to tego nie można nazwać prostytucją. Małżeństwo koleżeńskie według po-

jęć Lindseya ma być właśnie tym czynnikiem, który ma przeciwdziałać dzikim związkom, nadużyciom seksualnym i t. p. Jeżeli małżeństwo koleżeńskie nie posiadałoby pewnych ograniczeń i praw, jak na przykład automatycznego przekształcania się w małżeństwo zwykłe, zalegalizowane, gdy na świat przychodzi dziecko, wówczas można by mówić o prostytucji, rozwiązłości takiego życia i t. p. O sprawach tych Boy już niejednokrotnie wspominał, wyjaśniał, tłumaczył, wszystko napróżno, bowiem pewne odłamy społeczeństwa w dalszym ciągu pozostają w całkowitej ignorancji dla tych spraw.

Pani Krawczyńska pisała, że o obowiązkach ojca winien być uświadomiony chłopiec o wiele wcześniej, niż następuje samo małżeństwo i gdy te obowiązki wynikają same przez się. W okresie dojrzewania mówienie o tych sprawach sądzę, nie wyda żadnych dodatnich wyników, co najwyżej nieco zaciekać ze względu na pikantność niektórych spraw, w wieku późniejszym zaś takie odczyty przydałyby się bez wątpienia. Trudno jednak wymagać, aby nieodpowiedni prelegent wywołał zainteresowanie i wzbudził sumienie w zatwardziałych duszach mężczyzn, a przeważnie do tego rodzaju spraw zabierają się ludzie nie z ojcostwem ani z tem uczuciem nie mający wspólnego. Na prelegentów tych odczytów powinni być powoływani ojcowie zaci i mądrzy, a nie profesorowie psychologii, lub doktorzy, traktujący rzecz jednostronnie. Może właśnie takie odczyty, szczerze, serdeczne, mądre (a nie przepelnione frazesami, powoływaniami się na uznaną moralność) wywołałyby wśród mężczyzn jakieś odprężenie, odsunięcie się od dotychczasowego sposobu życia i postępowania. Trzeba wiedzieć, że dzisiejszy mężczyzna, w większości wypadków, pozbawiony jest wielu uczuć ludzkich wobec kobiety. Bierze ją, kiedy mu się podoba, rzuca kiedy mu się znudzi. Mężczyzna taki napewno wstąpiwszy w związki małżeńskie, nie będzie kompetentny w sprawach ojcowskich, będzie postępował tak, jak to robił doniedawna, uważał swą żonę za przedmiot nowych porywów erotycznych. Czyż coś z ludzkiego uczucia może w nim pozostać po kilkunastoletnim nurzaniu się w rozpucie i idealizowaniu najniższych instynktów? Chyba nie, ani kszty z tego, co wyłoni się po każdym odczycie o szlachetności, dobroci czy choćby poczucia ludzkości. Człowiek bowiem powinien być godny swej nazwy „człowiek“. Zezwierzęcenie czy całkowite pogrążenie się w namiętnościach i poddanie się wszelkim słabościom ludzkiego życia denerwuje człowieka, przetwarza go w jakąś bryłę ciała, krwi i kości pozbawioną duszy. Człowiek bowiem, nie umiejący opanować swych namiętności, swych pragnień, który powiada do siebie: „Ach, wszystko mi jedno“ przestaje być człowiekiem, staje się poprostu masą, kierowaną nie rozumem, nie wolą, ale zachciankami, wzruszeniami zewnętrznymi. Istota taka, wyzuta z wszelkich duchowych mocy, impulsów wewnętrznych niegodna jest nosić nazwy człowieka.

Stykając się z różnego pokroju mężczyznami, miałem sposobność zaobserwować, że każdy niemal przedstawiciel rodu męskiego zawsze jest nastawiony na poznanie kobiety w celu zyskowej zabawy erotycznej. O czym się najwięcej rozmawia w szkołach? O erotyce, o namiętnościach, o różnego rodzaju sposobikach i przyjemnościach cielesnych... O czym się najmiej rozmawia na wyższych uczelniach? O miłości przygodnej, ulicznej. A tańce? Każdy niemal mężczyzna, idąc na tańce, szczególnie na zabawę ogólną, ma w perspektywie podniecanie się pięknymi ciałkami kobiet, podobnie dzieje się na plażach, lub innych zbiorowiskach ludzkich.

Wszystko to należałoby zmienić, wypełnić, oczyścić.

Lecz nietylko mężczyźni są winni. Miałem możność poznać pewną młodą osobkę, która posiadała dość wolnościowe pojęcia o miłości, o uczuciach. Uważała, że kochać się, to jest przeżytek, rekwizyt epoki romantycznej, uczucia minionych dni. W ramiona swe zdolna była brać każdego mężczyznę, który choć trochę jej się podobał, działał na jej zmysły. Niestety, nie umiałem jej wytłumaczyć, że postępuje błędnie, że kiedyś, być może, będzie tego żałowała, że swego męża, którego może kiedyś będzie miała, wstydzić się będzie. Nie wiem, co się z nią obecnie dzieje, może stała się jedną z tych, z których za oczy mężczyźni się śmieją, a w oczy mówią miłe słówka?

Stykając się z mężczyznami, stwierdziłem, że większość mężczyzn śmieje się z miłości. Czy w szkole, czy w życiu akademickim, ten, który odważył się zakochać i chodzić dłużej, niż miesiąc z jedną i tą samą kobietą, uważany był za niedorajdę, półgłówka nieledwie. Ci zaś z młodzieńców, którzy głosili: „Dziś ta, jutro inna“, mieli autorytet, wiedli prym we wszystkich poczynaniach zbiorowych.

Rodzi się wobec tego pytanie, czy dojdziemy do tego, że tylko poto łączyć się będziemy, by wydać nową istotę na świat?

Nie mam zamiaru moralizować na tematy obyczajowo - społeczne. Chciałem tylko wskazać, że rzucając taki projekt: uświadamiania mężczyzn, przyszłych ojców, trzeba być lisem i lwem jednocześnie, odważnie zabrać się do tych spraw i chytrze, by nie zniechęcić chłopców, nie wytworzyć u nich pojęcia, że odczyty o przyszłej roli ojca, to „bujda“, lecz przekonać ich o pożyteczności i konieczności słuchania tego rodzaju prelekcji. Bez wątpienia, że znajdą się jednostki, nie nadające się do najmniejszego choćby odrodzenia duchowego, z gruntu zepsute, skarlłowaciałe, tem silniej trzeba więc walczyć, by chwasty nie rozpełniły się dalej.

Może kto wskaże sposoby walki, może poweźmie szczęśliwą myśl, zaradzi złu i wytworzy wśród młodego pokolenia mężczyzn, ludzi zdrowych nietylko fizycznie, ale i moralnie, duchowo.

A któż inny, jak nie kobieta, ma największy wpływ na mężczyzn? Tylko z jej inicjatywy wyjść może dobry projekt, zdrowy sąd, szczęśliwe zarządzenie złu... A więc czekamy.

Stefan Szempliński.

Kobieta w świecie i w domu

„ZAWALIDROGA” HERMINJI NAGLEROWEJ PO FRANCUSKU.

W dzienniku „Homme libre”, założonym przez Clemenceau, zaczęła wychodzić powieść Herminji Naglerowej, „Zawalidroga” w świetnym przekładzie p. Stanisławy Jarczyńskiej-Malinowskiej.

I autorka i tłumaczka są współpracowniczkami „Bluszcza”. „Zawalidroga” drukował „Bluszczyk” pięć lat temu. Powieść ta wywołała duże zainteresowanie czytelników, zarówno poruszonym w niej problemem (okres dojrzewania w życiu chłopca, którego rodzice rozwiędli się), jak i psychologizmem i artystycznym jego rozwinięciem.

Obecnie p. Herminja Naglerowa prowadzi w „Bluszczu” dział „Z ubiegłego tygodnia” i wykańcza dłuższą powieść cykliczno-rodową p. t. „Karjery”, z której fragmenty drukowaliśmy w „Bluszczu”.

Pani Stanisława Jarczyńska-Malinowska jest świetną znawczynią współczesnej literatury francuskiej i angielskiej. „Bluszczyk” drukował niejednokrotnie jej artykuły z tej dziedziny oraz prześliczny przekład noweli Katherine Mansfield „Drzewo kwitnące”.

DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ MAŁŻEŃSKICH POD ZNAKIEM SWASTYKI.

Ostatnio dr. Heinsius z Berlina opracował, po porozumieniu się z ministerstwem spraw wewnętrznych Rzeszy, urzędem higieny ludowej i wydziałem rasy przy partii narodowo-socjalistycznej, dziesięć przykazań, do których winni stosować się prawnicy Niemcy. Oto brzmienie tych przykazań:

1. Pamiętaj, że jesteś Niemcem;
2. Winienesz żenić się, jeśli jesteś dziecinie zdrowy;
3. Utrzymuj twe ciało w zdrowiu;
4. Jako Niemiec, za małżonkę wybieraj tylko Niemkę lub osobę krwi nordyckiej;
5. Przed wyborem małżonka uświadom się o jego przodkach;
6. Zdrowie jest także warunkiem piękności zewnętrznej;
7. Żeń się tylko z miłości;
8. Nie wybieraj towarzysza zabaw, lecz uważaj swego małżonka za towarzysza w małżeństwie;
9. Zdrowe potomstwo jest właściwym sensem małżeństwa;
10. Dopiero od 3—4 dzieci zapewnionem jest utrzymanie narodu.

TRZY BIAŁE PIÓRA...

Na dworze angielskim stał się skandal. Królowa Mary musiała interwenjować osobiście... Cóż to się stało? Otóż debiutantki, młode panny angielskie, wstępujące w świat, zbuntowały się przeciwko etykietce. A zrobiły to w miejscu i w czasie najmniej odpowiednim, mianowicie podczas uroczystego przedstawienia ich na dworze kró-

lewskim. Jak wiadomo, w czasie tej uroczystości obowiązuje przepisowy, przez tradycję ustalony strój: najważniejszą rolę tu odgrywają trzy białe pióra, sztywno i prosto sterczące na czubku głowy. Otóż debiutantki wprowadziły innowację — ozdobiły się piórami fryzowanymi, kokieteryjnie pochyłonymi, nawet nie białymi, a kremowymi. Wydekoltowały sobie (nawet dosyć dyskretnie, ale za to po kobiecemu sprytnie) plecy, zamiast dotychczasowych, surowych rękawiczek z prostej, białej, glansowanej skóry, ręce i ramiona przyozdobiły modną organdiną, muślinem, czy koronką.

Na dworze powstała konsternacja i oburzenie. Królowa oświadczyła, że nie będzie tolerować tych wykroczeń przeciwko starym obyczajom, oraz zdecydowała, że od-tąd fryzjerzy dworscy będą w dniu uroczystego przedstawienia u dworu rezydować w pałacu Buckingham, aby wporę doprowadzić do porządku niesforne pióra niesfornych debiutantek.

Na tym zarządzeniu zakończył się narażenie „bunt młodych”.

POLKA — PIERWSZĄ SZAMPIONKĄ CYKLISTKĄ.

„L'Eclair du soir”, dziennik nicejski podaje w rubryce sportowej wiadomość o pierwszej szampionce — cyklistce, która, jak się okazuje, jest Polką, nazywa się pani Karolina Kociecka (Kosiecka? Kodziecka?) i od 20 lat stale mieszka w Nicei.

Patrząc na fotografię starszej pani, o siwych włosach, niktby nie przypuścił, że była ona jakieś 40 lat temu zwyciężczynią i bohaterką wielu głośnych raidów rowerowych.

Według słów samej pani Kocieckiej, rozpoczęła ona swoją sportową karierę w wieku 18 lat, wygrywając podczas zawodów w Warszawie jeden z biegów.

Jako rezultat tego zwycięstwa, młoda sportsmenka zostaje zaproszona do Rosji, gdzie wygrywa wiele zawodów, otrzymując między innymi nagrodę wielkiego księcia Sergiusza Michałowicza za parcours — Moskwa — Petersburg.

W 1910 r. dzielna dziewczyna udaje się sama rowerem z Warszawy do Paryża, aby zwiedzić wystawę. Przebycie przez nią tak wielkiej odległości wywołuje sensację.

Po powrocie do Folski, p. Kociecka bierze udział nadal w różnych zawodach, m. in. w biegu dookoła Rosji.

Obecnie p. Kociecka mieszka w Nicei, w Hotelu Polonia, pełniąc funkcję sekretarki p. Szczuki, matki b. posłanki na sejm, p. Łady.

Dawna szampionka nie straciła swoich zamiłowań sportowych: można ją widzieć prawie codziennie przy kierownicy auta, którym przejeżdża przez piękne drogi Lazurowego Wybrzeża.

KOBIETA ŻYDOWSKA W POLSCE.

Przyczyny powstania wyzwolenczego ruchu kobiecego w społeczności żydowskiej różnią się wielce od tychże przyczyn w społeczeństwie chrześcijańskim, tak ze względu na stanowisko kobiety pod względem religijnym, jak i społecznym.

Dopiero bowiem nowoczesne szkolnictwo wyrównało niejako ogromną różnicę w kształceniu chłopców i dziewcząt żydowskich. A żydowskie prawo małżeńskie, krzywdzące dla kobiet, nie uległo jeszcze reformie. Rozwód jest łatwy, o ile pragną go obie strony, choć i tu inicjatorem jest przeważnie mężczyzna i jego interesy przedewszystkiem brane są pod uwagę.

W razie zaginięcia męża, kobieta wogóle nie może wyjść za mąż, chyba, że dowiedziawszy się o miejscu jego pobytu, czy sama, czy za pośrednictwem rabinatu, zdoła uzyskać rozwód piśmienny. Jeszcze gorsze jest położenie wdowy bezdzietnej, która, według starego żydowskiego prawa, obowiązującego i dziś, uzyskać może po wypełnieniu przepisanych ceremonij zwolnienie od brata nieboszczyka, który właściwie powinien ją poślubić, ale wobec obowiązującego jednożenstwa, tego uczynić nietylko nie może, lecz i nie chce. Wyzysk, uprawiany w tych przypadkach, przez „szwagrów”, jest wielką bolączką, z którą walczą bardzo energicznie organizacje kobiece i którą starają się złagodzić światlejsi rabini.

Na podłożu tych warunków bytu kobiety żydowskiej, wyrosły silne liczebnością członkiń i pracą, zmierzające do poprawy doli oraz wyrobienia godnego stanowiska organizacje kobiece: W. I. Z. O., (Women International Zionist Organisation), I. F. O. Związek Kobiet Żydowskich), Ochrona kobiet żydowskich i inne.

KOBIETY W SĄDOWNICTWIE.

Poraz drugi w historii sądownictwa łotewskiego kobieta została przyjęta na wyższe stanowisko w ministerstwie.

Pani Anna Admin, magister praw od 1929 r., pracująca obecnie przy Trybunale Królewskim w Rydze, uzyskała, w roli zastępcy na przeciąg trzech miesięcy, stanowisko adwokata generalnego przy Ministerstwie Sprawiedliwości.

KOBIETA PREZESKĄ TOWARZYSTWA DO WALKI Z BEZROBOCIEM.

Zasłużona na polu społecznym i filantropijnym działaczka węgierska pani Bianka Kosztolanyi, została ostatnio wybrana na przewodniczącą Tow. do Walki z Bezrobociem w Budapeszcie. Mimo młodego wieku (37 lat życia) ma już za sobą szereg lat pracy społecznej.

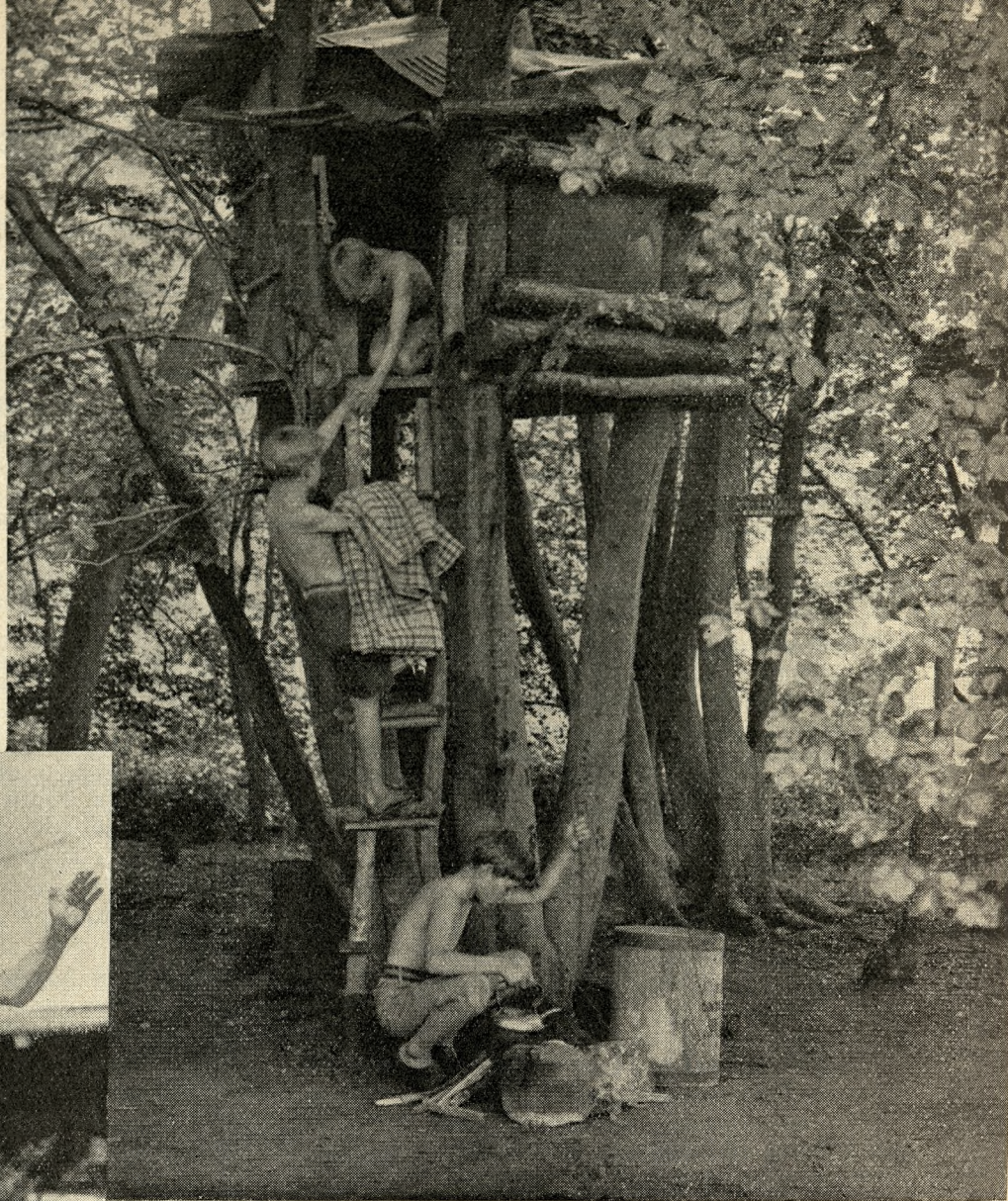
MAŁY AKROBATA-NIAŃKA.

Na zdjęciu widzimy chłopca - akrobata, który jedzie na kółku, popychając wózek z najmłodszym braciszkiem, a starszego wioząc na własnych ramionach. Jeszcze jeden przykład amerykańskiego self-half'u.



KWIATY W SOWIETACH.

W Sowietach w ulicznej sprzedaży pokazały się kwiaty. Młode dziewczęta cieszą się z tego uśmiechu lata, którego dotychczas były pozbawione.



ZA PRZYKŁADEM TARZANA.

Kilku amerykańskich chłopców urządziło sobie camping na drzewie. Są to synowie artysty Thompsona, który szereg lat spędził w lasach Kanady i Stanów Zjednoczonych. Synowie idą śladem ojca. Mieszkają na drzewie już pół roku i czują się dobrze.

NAJMŁODSZA LOTNICZKA.

Najmłodszą lotniczką świata jest córka angielskiego ministra lotnictwa margrabiego London - derry, lady Mary Stewart, która ukończyła w tych dniach 12 lat. Prowadziła ona kilkakrotnie zupełnie samodzielnie samolot swego ojca, który odbył niedawno lot z Anglii do Egiptu i Indyj.

Lady Mary Stewart nie może jednak uzyskać świadectwa uprawniającego do prowadzenia samolotu przed ukończeniem 16 roku życia..



ANGIELSKA TANCERKA U- CZY SWOJE ANGIELSKIE KOLEŻANKI.

W Londynie odbył się zjazd amerykańskich tancerek. Na zdjęciu widzimy, jak angielska tancerka pokazuje swoim amerykańskim koleżankom trudne ćwiczenie.



PANI BLERIOT Z CÓRKAMI W AEROKLUBIE LONDYŃ- SKIEM.

Z powodu dwudziestopięciolecia przelotu Bleriota przez Kanał La Manche, londyński Aeroklub podejmował śniadaniem państwa Bleriot. Na zdjęciu lord Londonderry składa swój podpis na menu dla pani Bleriot i jej córek.

NOWOCZESNE BABIE LATO.

Początek września przyniósł tyle ciepła, że plażowanie jest najmiłszym wypoczynkiem.



Ogrodnictwo i hodowla

JESIEŃ I DRZEWA

Po zbiorze owoców, a przed nastaniem mrozów, trzeba w sadzie zrobić generalny porządek.

Przedewszystkiem należy uprzątnąć spadłe liście: najlepiej zgarnąć je w kąty ogrodu i zakompostować. Chodzi o to, aby zniszczyć owe tyjące zarodków owadziach, mieszczących się na opadłych liściach. Listki, które pojedynczo trzymają się jeszcze drzew, trzeba ręcznie zebrać i spalić.

Następnie trzeba obejrzyć dokładnie pnie i gałęzie drzew. Trzeba pamiętać, że kora drzewa spełnia tę samą rolę, co skóra na człowieku. Jak człowiek, gdy pory skóry ma zasklepione brudem, nie może czuć się dobrze, tak samo drzewo, porośnięte mchami, mało wchłania powietrza, skutkiem tego procesy odżywiania gałęzi nie mogą normalnie zachodzić. W miarę, jak rośnie warstwa porostów, drzewo czuje się coraz gorzej, coraz mniej owocuje, wydając owoce drobne, niesmaczne i t. p., aż wreszcie przychodzi moment, iż osłabione drzewo zostaje poprostu zaduszone.

Należy jeszcze dodać, że mchy i porosty stanowią wyśmienity podkład dla rozwoju grzybnii, oraz tworzą naturalne kryjówki dla rozmaitych szkodliwych owadów, które następnie niszczą pączki kwiatowe, zawiązki, owoce i liście. Zrozumieć tedy łatwo, iż cały wysiłek rozsadanego hodowcy musi iść w kierunku niszczenia tych porostów. Środkiem do tego będzie bielenie i czyszczenie specjalnymi szczotkami i skrobaczkami.

Nie wiem, dlaczego rozpowszechniło się u nas mniemanie, iż roboty te należy uskuteczniać pod koniec zimy? Może wzięto to początek ze zwyczaju ludowego, gdzie tradycja każe bielić drzewa w okresie Wielkiego Tygodnia. (Zresztą poszło to stąd, że w ten sposób zużytkowuje się resztę wapna, pozostałego od bielenia izarb). Niema nic bardziej krzywdzącego dla drzewa od tego porządku. Drzewa powinny być oczyszczone i obielone na jesieni, a przycięte i drugi raz pobielone pod wiosną.

Czyszczenie drzew to robota, która musi być wykonana nadzwyczaj starannie przy pomocy drucianych szczotek i skrobaczek.

Mleko wapienne do bielenia przysposabia się następująco: do drewnianej beczki wlewa się 10 wiader wody i miesza się to z 10 kg. wapna palonego (rozłusowanego, czyli zgęszczonego poprzednio małą ilo-

ścią wody). Miesza się dokładnie i dodaje dwa razy tyle na objętość, co wapna tłustej gliny.

Osobno rozpuszcza się w glinianem lub drewnianem (nie metalowym naczyniu) 5 kg. siarczanu miedzi lub, co jest dziś mniej kłopotliwe, 2 i pół kg. karbolineum.

Do rozpuszczenia zarówno siniego kamienia, jak i karbolineum należy używać niewielkiej ilości wrzącej wody. Gdy się te składniki rozpuszczają, wlewa się je do wody wapiennej i doskonale miesza wszystko razem.

Używać należy najlepiej tego samego dnia, gdyż po 48 godzinach ciecz traci wiele ze swej skuteczności.

Glinę dodaje się w tym celu, aby wapno się lepiej trzymało kory; tę samą rolę może spełnić krowieniec, lub plewy owsiane.

Bielenie pni i grubych gałęzi najlepiej uskuteczniać szczotką, zaś cienkie gałązki korony trzeba opryskiwać rozpylaczami, specjalnie do tego celu przygotowanymi. Ciecz ta niszczy wszelkie mchy, porosty, martwą korę, a przytem wszystkie grzybki i jajeczka w niej tkwiące.

Samo bielenie przed zimą ma dla drzew równie olbrzymie znaczenie. Wszak w ciągu zimy bywają różne dni, raz zimniejsze, raz cieplejsze. Gdy jest ciepło, wówczas drzewa się rozgrzewają i soki zaczynają żwawiej krążyć. Jeśli jednak po słonecznym dniu przychodzi mroźna noc, wtedy następuje raptowne zamarzanie płynnych soków w drzewie. Z chwilą, kiedy słońce raptownie zaświeci i ogrzeje drzewo, to kryształki lodu, utworzone z soków komórkowych, stopnieją pod wpływem wysokiej temperatury i, nie mogąc wrócić do swych komórek, rozlewają się, w rezultacie drzewo zostaje uszkodzone.

Ta reakcja odbywa się jedynie w czarnych drzewach (czarna barwa pochłania promienie). Drzewa pobielone — białe nie pochłaniają promieni, a jedynie je odbijają, czyli, że nie ogrzewają się tak bardzo i w rezultacie są mniej skłonne do uszkodzeń od mrozu.

Pozatem powłoka wapieniowa również stwarza pewną warstewkę izolacyjną.

Po obieleniu dobrze jest zwłaszcza świeżo sadzone drzewka okopać, formując dookoła kopczyk wysoki na 40—50 cm., uchroni to korzenie w razie wielkich mrozów od uszkodzeń.

Drzewka młode powinny być ponadto owinięte słomą, dla ochrony kory przed apetytem zgłodniałych

zajęcy. Dla czereśni i śliw zabiegi te są zbędne, bo w ich korze zające nie gustują. Doświadczenia straszącej zimy 1928/1929 roku wykazały, że słoma od przemarznięcia drzew wogóle nie chroni.

Kto chce mieć zdrowo rosnące drzewa i dorodne na nich owoce, ten tych czynności jesiennych nie zaniedba.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Dlaczego drzewka owocowe należy sadzić przedewszystkiem jesienią

Istnieją dwa terminy sadzenia drzewek owocowych: wiosną i jesienią.

Sadzenie jesienne daje bezwzględnie lepsze rezultaty i powinno się wszystko robić, aby właśnie w tym terminie zakładać sady.

Gdy tę sprawę rozważyć, można sobie to zjawisko łatwo wytłumaczyć następującymi przyczynami:

1) Sprawa nabycia drzewek. Szkółki handlowe, dostarczające drzewek do sadzenia, na jesieni mają znacznie większy wybór. Choćby dlatego, że do sprzedaży wiosennej idzie jedynie to, co zostało z jesieni.

2) Przesadzaniem zawsze gwałt popelniany na naturze. Lepiej, go popelnic wtedy, gdy roślina zasypia, a nie wtedy, gdy budzi się do życia.

Przy sadzeniu jesiennem lżejsze rany na korzeniach zagoją się jeszcze przed zimą, przy sprzyjających warunkach mogą również powstać jeszcze nowe korzonki, a drzewo na wiosnę odrazu zacznie silnie rosnąć.

3) Pozbawione liści drzewa, sadzone na jesieni, szybko się zakorzeniają i łatwiej znoszą wiosenne susze, niż sadzone na wiosnę. Samo sadzenie i przesypanie ziemi również niesłychanie ją wysusza, bo drzewo wiosennego sadzenia najczęściej wymaga podlewania, czego przy drzewach sadzonych jesienią unikamy.

4) Przy przesyłce drzew wiosną stosunkowo większy procent drzew zostaje uszkodzony, niż przy jesiennym transporcie. Tłumaczy się to tem, że oczka już w lutym budzą się do życia.

5) Wielkiem niebezpieczeństwem dla drzew przy wiosennym sadzeniu jest to, że często się zdarza, że przed wpływem wiosennego ciepła oczka rozwijają się znacznie szybciej, niż korzenie. Takie drzewa nie mogą czerpać wody pokarmów w dostatecznej ilości, przeto rosną

bardzo wolno, chorują i mogą wogóle zmarnieć.

To niebezpieczeństwo nie grozi starannie posadzonym drzewkom jesienią.

Oczywiście i jesienią posadzone drzewa mogą chorować, a nawet ginąć, jeśli zaniedbamy koniecznych zabiegów, względnie wykonamy je niestarannie.

Przy sadzeniu jesiennym koniecznym jest należyte zabezpieczenie korzeni od mrozu, jak usypanie około drzewka kopczyka z ziemi, względnie pokrycie ziemi ściółką lub nawozem. Wówczas mróz szkody drzewom nie wyrządzi i na wiosnę znajdą młode korzonki dostateczny zapas wilgoci.

6) Ostatnim ważnym argumentem, przemawiającym za jesiennym sadzeniem, jest ten, że ziemia pod wpływem deszczu, śniegu i mrozu łatwiej i lepiej się osiada i wszelkie zarówno mniejsze, jak i większe szczeliny znikną, zanim zaczną szkodzić drzewu.

Widać więc z powyższego, że jesiennie sadzenie ma bezwzględna przewagę nad wiosennym, nie zwlekajmy zatem i to, co mamy zrobić wiosną, wykonajmy jesienią.

Marja Dąbrowa.

MECH W TRAWNIKACH

Trawniki, leżące od północnej strony domu, ocienione murami budynków lub drzewami, niszczone bywają często przez mech, który się na nich wtedy bujnie rozrasta.

Przekopywanie ziemi i powtórne zasiewanie niewiele wtedy pomaga, mech pojawia się znowu. Skutecznym natomiast środkiem okazało się polewanie młodych trawników podczas deszczowej pogody po każdym ścięciu płynnym nawozem kłocznym. Trawa gęstnieje wtedy i staje się silniejszą, a mech zanika. Polewanie to dobrze jest powtarzać stale kilkakrotnie w czasie zimy, a raz przynajmniej w ciągu lata.

Innym środkiem, służącym do pozbycia się mchu z trawników jest wapno gaszone, zmieszane z ziemią kompostową, rozsypane na jesieni i na wiosnę podczas suchej pogody przed nawiezieniem kompostem.



Do nabycia we wszystkich aptekach.

ASPIRIN

Wreszcie, doskonale działa, niszcząc mech, kainit, zmieszany z wapnem gaszonym w stosunku 25 kg. wapna z 5 kg. kainitu na 1 ar powierzchni trawnika.

Stan. Schönfeld.

Orzechy włoskie sadzić grupami

Orzech włoski jest drzewem rozdzielnopłciowym, to znaczy, że osobno rozwija kwiaty męskie (t. zw. kotki), wydzielające pyłek, a osobno kwiaty żeńskie wyposażone w słupek i zalążnię. Przenoszenie pyłku na znamię słupka odbywa się pod wpływem wiatru.

Dlatego orzechy włoskie trzeba sadzić grupami po trzy, pięć, dziesięć drzew obok siebie. Drzewo, stojące samotnie, często jest zupełnie nieplodne, albo słabo owocuje, zwłaszcza jeśli rośnie w miejscu osłoniętym od wiatrów. Jeżeli na dodatek w porze kwitnienia panuje w powietrzu spokój, to dojrzały pyłek spada na ziemię i orzechy się nie zawiązują.

Orzech włoski jest drzewem górskim, przystosowanym do wiatrów, które pędzą całe tumany pyłków z kwiatów męskich, ażeby zapłodniły wszystkie kwiaty żeńskie. Przy sadzeniu w zbyt wielkich zespołach korony wzajemnie się osłaniają, co znowu wpływa ujemnie na ilość zawiązków.

U niektórych drzew kwiaty męskie dojrzewają stale albo w pewnych latach niezupełnie współcześnie z rozwojem kwiatów żeńskich. W takich wypadkach drzewa stojące pojedynczo, okazują się nieplodne, a zjawisko nieplodności

z powyższego powodu jest dziedziczne. Przy sadzeniu orzechów włoskich grupami zapylanie staje się daleko pewniejsze.

Stan. Schönfeld.

Odpowiedzi działu ogrodniczo-hodowlanego

P. J. Duklandoma. Nawożenie wyjąłowanego sadu. Najlepszym nawozem do zasilenia wyjąłowanego sadu jest obornik. Dostarcza on glebie wszystkich potrzebnych dla roślin pierwiastków pokarmowych. Wzbogaca ją nadto w próchnicę, a od dostatecznej ilości próchnicy w glebie zależy w dużej mierze jej urodzajność. Nawozy sztuczne nigdy nie zdołają zastąpić w zupełności naturalnych, lecz je tylko uzupełniają, jako nawozy pomocnicze.

O ile warunki nie pozwalają Pani na nawożenie sadu, choćby tylko raz na parę lat obornikiem, należy stosować nawóz zielony, mianowicie lubin. Na lżejsze grunta odpowiada lubin żółty, na cięższe niebieski, który jesienią należy przyorać. O ile rozporządza Szan. Pani gnojówką, ta może być z dobrym skutkiem zastosowana w jesieni.

Z nawozów sztucznych dać w jesieni tomasynę w ilości 500 kg. na 1 ha., zaś na wiosnę 300 kg. 30-proc. soli potasowej i 300 kg. azotniaku lub saletry chilijskiej.

Po wysianiu nawozy te trzeba z ziemią zmieszać broną.

P. D. Daczyńska, Rybnik. Aby uniemożliwić mrówkom chodzenie po drzewach, zakładamy opaski chwytne, a przedewszystkiem nie niszczymy, zalewając ukropem ich gniazda w ogrodzie.

P. K. Sucka, Katowice. Gnucie korzeni palm, czego następstwem jest zasychanie liści, leży prawdopodobnie w nieodpowiedniej t. zw. kwaśnej ziemi i w wadliwym podlewaniu. Palma, jak żadna inna roślina, reaguje na jakość podlewania.

Nie wolno jej ani zasuszyć, ani zalać, zaś drenaż na dnie doniczki musi funkcjonować bez zarzutu, by ewentualny chwilowy nadmiar wody mógł spłynąć bez przeszkody. Na podstawce woda nigdy przez dłuższy czas stać nie powinna.

Kursy Kosmetyczne

D-rów med. Zofii i Feliksa ROSTKOWSKICH

Warszawa, Mokotowska 51, tel. 8-99-29,

dają prawo otwarcia gabinetu kosmetycznego. Najwyższy poziom naukowy. Najnowsze zdobycze kosmetyki. Specjalnie uwzględnione: praktyka kosmetyczna, charakterystyka filmowa i sceniczna, pielęgnacja włosów, wyrób preparatów kosmetycznych. Początek kursu 17 września. Internat. Przy kursach znajduje się gabinet kosmetyczny pielęgnacji cery i włosów. W ciągu całego roku przyjmuje się praktykantki dla uzupełnienia wiedzy kosmetycznej.

Dom i gospodarstwo

KROCHMAL DOMOWEJ ROBOTY

O ile nie zawsze kalkuluje się gotować mydło w domu, o tyle wszelkiego rodzaju krochmale, które się wyrabia wyłącznie z surowców, produkowanych w gospodarstwach wiejskich, zawsze się opłaca robić w domu, ale tylko w dużych ilościach.

Jeszcze nie tak dawno wszystkie gospodynie fabrykowały w domu krochmale, głównie z pszenicy i kartofli.

Krochmal kartoflany, czyli t. zw. mąka kartoflana, ma oprócz usztywniania bielizny duże zastosowanie w kuchni do sosów, kisielów, różnych legumin. w pewnych okolicach, gdzie daleko do ośrodków zbytu i w latach, gdy kartofle osiągały minimalne ceny, opłaca się nieraz wyrabiać mąkę kartoflaną i na sprzedaż. Nadmienić należy, że na mąkę dają się użyć nawet i bardzo przemarznęte kartofle.

Krochmalu kartoflanego używa się dla grubszej bielizny; cieńszą lepiej usztywniać krochmalem pszennym, bo ten daje jaśniejszą barwę.

Do wyrobu krochmalu potrzeba kilku dużych, dosyć gęstych przetaków, worków do ściekania i dużych płaskich naczyń, mogą to być cebrzyki lub balje doskonale wymyte. Wogóle holenderska czystość ma tutaj decydujące znaczenie o powodzeniu całej roboty. Potrzeba także dużych ilości czystej wody, której zapas należy sobie zawsze przygotować. Duże kartofle obiera się ze skórki, płócze starannie i trze na tarkach lub, co znacznie szybciej idzie, miażdży się w specjalnych stemporach. Utartą masę kładzie się na przetaki i przelewa wodą nad dużym naczyniem tak długo, dopóki zupełnie czysta woda nie zacznie schodzić, zamiast przetaków posługiwac się tu można rogatami workami, takimi jak do serów. Wymytą masę kartoflaną skarmiamy najlepiej bydlęm.

Naczynia zaś, do których zlewaliśmy krochmal, stawiamy w miejscu spokojnym, aby się doskonale ustały. Gdy płyn z wierzchu stanie się zupełnie przezroczysty, zlewa się go ostrożnie, a pozostały na dnie krochmal trzeba nalać małą ilością wody i rozbijać tak długo, aż zupełnie zbieleje, dolać więcej wody, skłócić, przecedzić przez rzadkie sito i znów zostawić w spokoju, aby się ustało, wtedy znów zlać wodę z wierzchu i czystą nalać krochmal. Czynności te należy powtarzać przynajmniej 4 razy, dopóki odlewana



woda nie będzie zupełnie czysta, a krochmal całkiem biały. Zalewając poraz ostatni wodę, trzeba szarą warstwę krochmalu ostrożnie zdjąć, a czystą masę wyłożyć na płótno, mocno wycisnąć, rozprześć równą możliwie cienką warstwą i suszyć w przewiewnym miejscu.

Krochmal z pszenicy. Osiem garncy pszenicy, czyli 32 litry porządnie oczyszczonej i wymłynkowanej, myje się doskonale w kilku wodach, aby ją oczyścić z kurzu i wogóle wszelkich naleciałości zewnętrznych i zalewa się w beczce możliwie filtrowaną rzeczną wodą lub deszczówką. Wody powinno być tyle, aby pszenica była nią dobrze objęta. w wodzie tej pęcznieje ziarno w ciągu 10 dni. Co dwa dni wodę zmieniamy i zalewamy pszenicę świeżą o temperaturze pokojowej. Stać musi w miejscu ciepłym, gdy stoi w miejscu zimnym, pęcznienie się przeciąga nawet do dni 15.

Oznaką, że ziarno już jest dostatecznie rozmiękczone, jest to, że zaczyna pękać i wodę bielić. Teraz należy wziąć worek z nowego lnianego płótna, wypłókać go porządnie i nałożyć weń na $\frac{3}{4}$ tego ziarna, któreby się tam dało zmieścić. Worek się zawiązuje u samej góry i kładzie się w długie, czyste wymyte koryto i udeptuje mocno nogami lub doskonale ubija miejsce koło miejsca tłokiem od ubijania kapusty. Udeptywanie to i ubijanie skuteczniejsza się bez wody.

Kiedy się już kilka razy przebieje lub przedepcze pszenicę, należy ją przelać wodą, rozwiązawszy worek. W czasie przelewania mieszamy doskonale całą zawartość worka rękoma, aby woda mogła lepiej rozmiążdżone ziarna przemyć. Wodę tę zlewa się do wanienki, cedząc przez sito, na którym jeszcze kładzie się płatek płótna lub muslinu, żeby żadnej plewki ani łuski nie przepuścić. Ten pierwszy krochmal jest najbrudniejszy t. zn. najciemniejszy. Zabieg ten powtarza się trzy razy, zlewając wodę za każdym razem do innego naczynia. Ostatni krochmal, choć go będzie najmniej, będzie najwyższego gatunku. Koryto za każdym razem musi być do czysta przebyte.

Kiedy już trzeci i ostatni raz wy-

deptuje się pszenicę, trzeba to robić nieco dłużej, przez co otrzymuje się więcej krochmalu najładniejszego.

W ten sposób otrzymamy trzy gatunki krochmalu: najlepszy, średni i najgorszy.

Gdy już wygniatanie skończone, miazgę skarmiamy nierogacizną z tym, że używa się jej niejako do „kraszenia paszy”, chętnie ją je również i ptactwo domowe, pamiętać atoli należy, iż miazga ta łatwo kwaśnieje i dłużej niż 3 dni, nawet w czasie chłódów, nie należy jej przetrzymywać.

Wodę z krochmalem zostawia się w tych samych naczyniach, do których była zlewana na przeciąg 36 godzin, potem zlewa się tę wodę ostrożnie, zwykle jest ona żółtego koloru i nalewa się świeżą, z którą miesza się doskonale cały osad krochmalu. To się powtarza dopóty, dopóki woda nie będzie zupełnie czysta. Po każdym zlewaniu zbiera się ostrożnie cienką warstwę szarego krochmalu, jeśli się jego nalot nad czystym osadem zbiera. Zabieg ten jest konieczny, gdyż w przeciwnym razie mógłby ten szary nalot cały krochmal zabrudzić. Po kilku takich przemyciach, krochmal powinien mieć śnieżno-białą barwę.

Czystą zupełnie mąkę wybiera się do worków, aby ociekła, wyciska z wilgoci możliwie dokładnie i suszy rozpostartą cienką warstwą na płachtach w miejscu przewiewnym, ale osłoniętym od słońca, gdyż od niego żółknie.

Krochmal z kasztanów. W wielu okolicach naszego kraju są całe aleje drzew kasztanowych, które w latach urodzaju nieraz całe korce owoców zrzucają, przeważnie się marnują. Jest to kardynalne niedbalstwo, które powinno być poniechane, bo kasztany po odgoryczeniu i oparowaniu dają intensywną karmę, a pozatem mogą być z pożytkiem przerabiane, między innymi i na krochmal.

Technika wyrobu krochmalu z kasztanów prawie niczem się nie różni od wyżej opisanych wyrobów.

Świeże, a jaknajbardziej dojrzałe kasztany obiera się z brunatnych łupin. Robi się to w ten sposób, iż rozpościera się kasztany cienką warstwą na klepisku i młóci je cepem. Uderzenia bijaka porożtłukują łupiny tak, że je ręcznie łatwo będzie oddzielić.

Te obrane kasztany trzeba doskonale rozmiążdżyć, można je więc utrzeć na maszynie (oczywiście jeśli chodzi o małe ilości), albo też, co idzie niepomniernie szybciej, tłuczymy je w wielkich młódcierzach lub stępach.

„ZALEŻNOŚĆ OD UBRANIA”

Nasza „zależność od ubrania” nie jest bynajmniej zależnością, którą można by bagatelizować, albo podciągnąć pod rubrykę bagatelek.

Uwydatnia się ona nieomal na każdym kroku; psuje, albo ułatwia życie.

Ubranie wygodne, odpowiednie, przystosowane do pory dnia i okoliczności, to rodzaj ramy, w której życie, jak obraz traci, albo zyskuje.

Niestety w dzisiejszych warunkach materialnych częściej traci, bo wyczarowanie z niewystarczającego budżetu „pełnej” garderoby dla wszystkich członków rodziny jest sztuką nielada, której nie każda z nas sprostać umie i może.

Zastanawiając się nad tą, dla wielu ludzi, tak zwaną „wyższą”, błahą sprawą, dojdziemy łatwo do wniosku, że nie jest ona bynajmniej tak błaha, jakby się napozór zdawało. Garderobiane zasadnicze braki i garderobiane drobne, czy poważniejsze niedobory dezorganizują życie, pochłaniają czas, powodują irytację i co najważniejsze stwarzają specjalne poczucie upośledzenia, wpływając, u ludzi wrażliwych, fatalnie na pewność siebie, a nawet na poczucie własnej wartości.

Jakże inaczej czuje się człowiek, który idąc pod strugami deszczu do rannej pracy, może śmiało walczyć z wodą i błotem ulicznym odporne podszewami stosownego na deszcz obuwia, może rozpostrzeć nad głową parasol, albo osłonić się płaszczem nieprzemakalnym. Szaruga nie przestaje wprowadzić i wówczas budzić tęsknoty za słońcem, ale niema w sobie cech uraglowego upośledzenia, nie zmusza nas do przemykania się pod murami i pokornego stulania ramion.

Wszędzie i na każdym miejscu „ubranie” jest naszym sojusznikiem, albo naszym wrogiem. Przy domowej pracy gospodarskiej, przy zarobkowej pracy pozadomowej, w czasie spaceru, czy załatwiania interesów na mieście, na wizycie, zebraniu, w teatrze, na koncercie, w podróży podnosi ono skalę naszego samopoczucia, albo też obniża je bardzo wyraźnie.

Mężczyzna nie jest może tak wrażliwy (psychicznie) na te sprawy, kobieta staje się dopiero wtedy stuprocentowo silna, jeżeli jest odpowiednio i dobrze ubrana. Nawet jej telefoniczna rozmowa ma zgoła odmienne zabarwienie, o ile prowadzi ją, pewna swojej zewnętrznej nienaganności.

Alle sprawy garderobiane nie kończą się jeszcze na psychicznym samopoczuciu, na docenieniu tej głębokiej prawdy, „jak cię widzą, tak cię piszą”, na pewnym mniej,

czy więcej rozciągliwym głodzie estetycznym i głodzie zadowolenia własnej próżności.

Wchodzi tutaj jeszcze w grę: *porządek, wygodą, higiena*.

Z tym porządkiem bywa nieraz najgorzej.

Brak guziczka u kołnierzyka pana domu, pończochy zgromadzone po praniu w jeden wielki stos, z którego wyciąga się je, aby jakoś przycerować dziurę *napoczekaniu*, niewyczyszczone w porę ubranie, czy okrycie, krawat skręcony na postronek, wszystko to są nietylko punkty zaczepne, powodujące przeładowanie elektryczności w atmosferze domowej. Jeżeli wynika z tego awantura nie wiemy usposobienia naszych małżonków, z którymi „doprawdy już dłużej wytrzymać nie można”, ale wiemy same siebie.

Tak samo i dzieci. Pali się na nich poprostu ubranie. Prawda, że na ogół nie umieją go szanować, ale... ale będą go napewno szanowały, jeżeli zapobiegliwość nasza stworzy dokoła nich atmosferę poszanowania wyglądu zewnętrznego, jeżeli racjonalna, staranna konserwacja ubrania nie będzie w naszym środowisku sporadycznym wybrykiem, a jednym z przykazań głównych życia domowego.

Ileż to razy ogólne zaniedbanie wyglądu: pani i pana domu, dzieci i służby jest normalnym stanem rzeczy, którego nie widzi się siłą przyzwyczajenia, a który zauważa się w jakimś specjalnym momencie (najczęściej wtedy, kiedy obawiamy się krytycyzmu z zewnątrz) i reaguje burzą.

Porządek, to czynnik odpowiedzialny za wygląd zewnętrzny nawet tych osób, których budżet toaletowy jest prawdziwie głodowo-kryzysowym budżetem.

A wygodą? Wygodne ubranie prześwieśla życie we wszystkich jego przejawach, jakby promieniem sonica.

Wydatność pracy, sprawność poruszania się, zdolność odczuwania przyjemnego nastroju, — wszystko to jest zależne w dużej mierze od sposobu ubrania.

Któż jest w stanie zaprzeczyć, że niewygodne, albo nieodpowiednie obuwie nie ponosi w dużej mierze odpowiedzialności za samopoczucie. Kto nie zna rękawów, wpijających się w przedramię i krępujących ruchy rąk, której z nas obcem jest uczucie rozdrażnienia, wywołane rękawem od sukni, czy szlafroka, zachaczającym o zastawę stołową, zrzucającym drobiazgi przy ścieraniu kurzu, utrudniającym sprawność poruszania rękami przy zajęciach domowych.

A zbyt ciasny kapelusz, wywołujący ból głowy? Jakies niedokładności w wykończeniu, czy kroju

sukni, lub okrycia, które absorbują myśl i uwagę. Nieodpowiednie ubranie w podróży, co każe drzeć przed najmniejszym podmuchem wiatru w samochodzie, na statku, czy łodzi, zrywającym kapelusz z głowy, albo strzec bezustannie okrycia, sukni przed kurzem, słońcem, deszczem.

Wszystkie te i wiele innych punktów zaczepnych rujnują poczucie wygody i psują fatalnie nastrój przeżywanej chwili, a zatem nie mogą być bagatelizowane.

To samo jest i z higieną ubrania. Dostosowane do pory roku, dostosowane do warunków, w jakich w nim przebywać będziemy, jest w dużej mierze odpowiedzialne za stan zdrowotny jednostek.

Bo przecież każdy odcinek życia ma odmienne prawa: nauka, sport, praca fizyczna, praca gospodarska w kuchni i w domu, podróż, rozrywka, wypoczynek, sen, wszystko to wymaga odrębnych warunków i nie może być podciągnięte pod jeden nienaruszalny szablon.

Pozostaje jeszcze estetyka.

Nie jest ona bynajmniej, jak to twierdzą abnegaci życiowi, luksusem bez praw bytu w dzisiejszych „ciężkich czasach”.

Czynne poczucie estetyki to promieniowanie najtajniejszych instynktów, związanych z umiłowaniem piękna, z potrzebą stwarzania go, obcowania z nim. Tego specjalnego głodu nie można oszukać, jeżeli jest on składnikiem naszej natury i dlatego poczucie własnej *niedoskonałości wyglądu*, cięśle obcowanie z cudzą nieestetyczną zewnętrznnością jest dla takich kobiet wiecznie krwawiącą raną, co przyczynia się do chorobliwie zgaszonego nastroju ich wyobraźni, do zmatowienia radości życia, która jest przecież motorem maszyny ludzkiej.

Sprawa garderobiana nie jest bynajmniej sprawą lilipucia, jest zagadnieniem wielostronnym, zagadnieniem o wpływach przemownych na stan zarówno fizyczny, jak i psychiczny, a rozwiązanie go spada na nasze barki. Jest w nim dzisiaj niestety dużo więcej cudotwórczości, niż *normalnego sprostania zadaniu*, które opiera się na zdrowych podstawach materialnych.

Alle któż, jak nie kobieta, jest stworzony właśnie do rozwiązywania tak zawitych problemów?

Wanda Dobrzańska.

Czytelniczki nasze

*prosimy, by żądały
pism kobiecych we
wszystkich kawiarniach,
cukierniach,
restauracjach, czytelniach i t. d.*

Wszystkim Paniom polecamy

doskonałe książeczki wydawnictwa

„Życie Praktyczne”

Zbiór i przechowywanie owoców

Potrawy z jarzyn

Co można zrobić z mleka

Co można zrobić z owoców

Co trzeba wiedzieć o grzybach

Potrawy i konserwy z grzybów

Potrawy z kartofli

Salaty i salátky

Zimne leguminy

Jarzyny na zimę

Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń

Kuchnia dziecięca

Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania

Hodowla i tuczenie drobiu

Jarstwo i surówka

Obiady na maszynie

Wina owocowe

Zimne napoje

Zimne zakąski

Wyrób serów

Pieczywo domowe

Sto potraw z jaj

Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cukierki i słodycze

Potrawy z cielęciny

Drobne ciasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszyst. większych księg.

Konto P.K.O. 12.200

Cena każdej książeczki 1 zł.

z przes. poczt. 1 zł. 30 gr

Każda z pań zrobi sama dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry, szale i wiele innych rzeczy przy pomocy doskonałych pomocników

SZYDEŁKIE

i na

DRUTACH

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87

i Świętokrzyska 17 oraz we wszyst-

kich kioskach „Ruchu” i księgarniach

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.